

Rok XXXVII

Nr e-203 (399)

Wrzesień 2023

NA SZLAKU

Turystyka – Krajoznawstwo – Góry

Magazyn turystyczno-krajoznawczy



SPIS TREŚCI – WRZESIEŃ 2023

Z NASZEGO REGIONU

Osobliwości	<i>Witold Komorowski</i>	3
Suplement – tęgie głowy na Politechnice	<i>Witold Komorowski</i>	8
Ile jest wart Park Narodowy Gór Stołowych?	<i>Zbigniew Piepiora</i>	11
Pomnik upamiętniający mieszkańców Uniemyśla poległych w czasie pierwszej wojny światowej	<i>Marian Gabrowski</i>	13
Zagadkowy pomnik z Sędziszawia	<i>Marian Gabrowski</i>	14
Śmierć Maywalda	<i>Ullrich Junker</i>	16
Na Przedgórzu Sudeckim	<i>Krzysztof Gdula</i>	18
Autobusem na sudeckie wycieczki do Kudowy-Zdroju w 1952 r.	<i>Bartosz Skowroński</i>	21
MIEDZIANKA – opuszczone miasto-widmo	<i>Stanisław Dziuba</i>	23
SUDETY W POEZJI (9)	<i>Edward Kozikowski</i>	22

OJCZYSTE SZLAKI

Na rowerze nad Jaworkami. Część 2. Na Prehybę	<i>Juliusz Wystouch</i>	26
Jaka będzie Bydgoszcz w 2029 roku? Wyzwanie Europejskiej Stolicy Kultury.	<i>Anna Czarnecka</i>	29
„Ogień” na monecie	<i>Ryszard M. Remiszewski</i>	30
CYTAT MIESIĄCA: „Maluchem” na Grossglockner	<i>Juliusz Wystouch</i>	33

WYGODNIE I BEZPIECZNIE

„Miej serce i patrzaj w serce”	<i>Juliusz Wystouch</i>	34
--	-----------------------------------	----

GLOBTROTER

Trenczyńskie Cieplice oczyma Agatona Gillera	<i>Mirosław J. Barański</i>	36
Dwie rocznice (1) – 200 lat żeglugi parowej na Lemanie	<i>Mirosław J. Barański</i>	40
Góry Krzemienieckie	<i>Janusz Fuksa</i>	44
Kilka słów sprostowania i uzupełnienia	<i>Juliusz Wystouch</i>	43

Z TURYSTYCZNYCH KRĘGÓW

16. spacer historyczno-krajoznawczy – Walończycy	<i>Krzysztof Tęcza</i>	45
27. wycieczka Rajdu na Raty 2023 – deszczowa wycieczka	<i>Krzysztof Tęcza</i>	47
Wiadomości o Dolnym Śląsku z 1947 r. (27)	<i>Józef Sykulski</i>	49

SYLWETKI „NA SZLAKU”

Godło Szalaya – znak tradycji i dobrej jakości.	<i>Tomasz Kowalik</i>	50
Taternik literatury	<i>Antonina Sebesta</i>	51

RECENZJE I NOWOŚCI

Opowieść o tym, jak dawniej Tomek wędrował.	<i>Tomasz Kowalik</i>	52
Wędrowanie razem z nurtem Wisły	<i>Tomasz Kowalik</i>	53

Na okładce: „Strażnik Wieczności” na początku drogi „Wieczność” w Górach Bystrzyckich.

Fot. Witold Komorowski 2021 r.

Osobliwości

Przywykliśmy do tego, że w Sudetach można znaleźć miejsca niesamowite, gdzie indziej niespotykane, do których chce się wracać i są to albo wytwory natury, albo też dzieła raczej antropogeniczne. Np. trudno nie podziwiać Błędnych Skał (entuzjaści mówią Obłędne Skały) czy innych fantastycznych formacji w Górach Stołowych albo Kolorowych Jeziorok w dawnych kopalniach pirytu w Rudawach Janowickich, nie mówiąc o mnóstwie świetnych zabytków architektury.

Oprócz tego typu szeroko reklamowanych miejsc są też obiekty mniej znane, czasem trudno dostępne lub z pozoru nieatrakcyjne, a jednak oryginalne i warte zwrócenia na nie uwagi.

Na przykład w zakamarkach Krzeszowskich Wzgórz, powyżej zabudowań **Kochanowa** w pow. kamiennogórskim, na skraju lasu kryje się zabytek unikatowy w skali europejskiej. Jest to średniowieczny **kamienny stół sądowy** wraz z kamiennymi siedziskami (dwa z nich mają nawet oparcia!). Sam stół jest obrobionym blokiem piaskowca o powierzchni ok. 2x0,8 m i wysokości ok. 1 m. Wyobraźnia podpowiada, jak w tym miejscu mogły wyglądać publiczne sądy, po których zapadały wyroki, a ich wykonanie zapew-



Skalne Grzyby w Górach Stołowych (2006)



Kolorowe Jezioro w Rudawach Janowickich: Purpurowe i Szafirowe (2015)



ne miało czasem miejsce pod pręgierzem w niedległym Krzeszowie. Ten pręgierz stoi tam do dziś przed południową bramą klasztoru na placu traktowanym jako parking ciężarówek. Jeżeli jeszcze zauważyć, że w okolicy jest kilka kamiennych krzyży (w Czadrowie, Krzeszowie, Krzeszówku, Gorzeszowie i w samym Kochanowie), a prawdopodobnie niektóre z nich są krzyżami pojednania, czyli stawianymi w rezultacie umowy między zabójcą a rodziną ofiary, to można

Stół sądowy w Kochanowie (2023)

Dojście do stołu – pod lasem widoczna tablica informacyjna (2023)

mówić o swoistym rozproszonym muzeum pomników dawnego prawa godnym opisu przez fachowców.

Obecnie do stołu sądowego dochodzi się od strony wsi dość okrężną drogą (teoretycznie szlakiem zielonym), a ostatnie kilkadziesiąt metrów prowadzi na przełaj przez łąkę, na którą można się dostać, przekraczając oryginalną bramkę w ogrodzeniu. Współrzędne GPS: 50°42'18,0" N; 16°08'18,0" E.

Ciekawostką z pogranicza XVIII-wiecznego marketingu i ponadczasowego „kultu jednostki” jest pomysł pewnego oberżysty ze wsi **Podlesie** (wówczas *Wäldchen*) w pow. wałbrzyskim. W czasie wojny siedmioletniej, po bitwie pod Burkatowem w lipcu 1762 zatrzymał się tu Fryderyk II, a usłużny gospodarz, Dawid Polte przywiązał jego konia do lipy rosnącej przed zajazdem, co wystarczyło, żeby później pokazywał ją wszystkim jako „lipę królewską”, niemal relikwię patriotyczną. Sława tego miejsca rzeczywiście rozniosła się szeroko, do tego stopnia, że kiedy w 1853 r. burza zniszczyła drzewo, to z polecenia króla Fryderyka Wilhelma IV, dla uczczenia pamięci jego wielkiego poprzednika, wykonano żeliwny odlew pnia owej *Friedrichslinde* i w 1858 r. ustawiono go w Podlesiu. Do dziś zachował się dość zaniedbany budynek dawnej gospody (Podlesie 21) z inicjałami WP nad bocznym wejściem (zapewne budowniczego z rodziny Polte) i osobliwy **żelazny pomnik drzewa**, niestety bez drzwiczek, na których kiedyś umieszczono podniosłą pamiątkową sentencję.



Żelazna lipa Fryderyka przed dawnym zajazdem Poltego w Podlesiu (2017)

Tumidaj. Gospoda „napoleońska” (2013)

Ta historia przypomina trochę sposoby upamiętniania nawet błahych epizodów z pobytu Napoleona Bonaparte w naszym kraju. Np. we wsi o dwuznacznej nazwie Tumidaj (przy drodze ze Złoczewa do Sieradza) stoi do dziś budynek karczmy słynnej z tego, że tutaj cesarz Francuzów miał się spotkać z panią Walewską. Żeby było pikantniej poprzednia wieś na tej trasie nosi nazwę Próba.

Inny nietypowy XIX-wieczny pomnik znajduje się w **Górach Bystrzyckich** w pobliżu wyludnionej wsi Huta, na Wójtowskiej Równi. Te góry mają tu charakter płaskiej wierzchołki rozciągniętej w kierunku północno zachodnim aż do przełomu Bystrzyca Dusznicka między Dusznikami a Polanicą i słyną z kilku dróg leśnych wytyczonych „jak po sznurku” (Pionierska Linia, Długa Droga), niesłychanie nużących dla turysty, który tamtędy się zapyści. Najbardziej znana i najdłuższa jest 6-kilometrowa „Wieczność” (niem. *Ewigkeit*) będąca też najkrótszym połączeniem między fortem Wilhelma na południu i fortem Fryderyka na północy na zboczach Kamiennej Góry nad Pokrzywnem. Oba niewielkie forty, obecnie w ruinie, nigdy nie były wykorzystane wojskowo i częściowo rozebrano je już po 1807 r., a były budowane za Fryderyka Wilhelma II w latach 1790-95 i być może wtedy powstała też ta prosta droga.

Na początku „Wieczności”, od strony Huty, stoi kamienna figura mężczyzny w meloniku z rękami w mufce, na której jest strzałka z napisem Nesselgrund (Pokrzywno) i datą 1872. Przyпуска się, że ten pomnik, nazywany przez Niemców *Grauer Mann* (Szary Człowiek), mógł być zbudowany wcześniej (1872 jest datą pierwszej znanej renowacji) i że upamiętnia mieszkańca Huty, który zamierzał w tej okolicy, choć na ten temat istnieją też inne fantastyczne opowieści. W Polsce powszechnie przyjęła się nazwa **Strażnik Wieczności**, szczególnie od czasu jej odtwo-



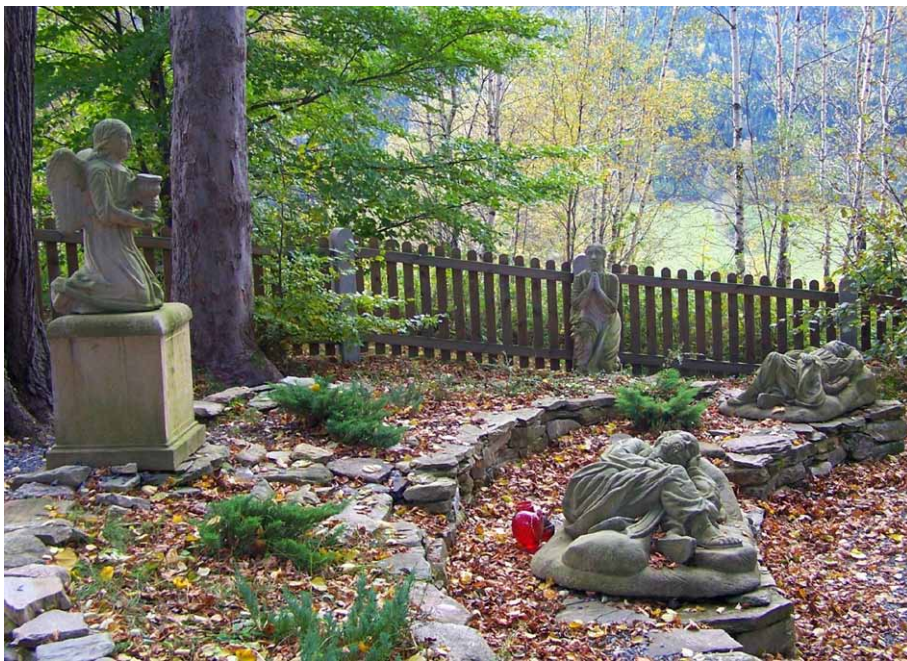
Strażnik Wieczności (2021)



rzenia po zniszczeniach i kradzieży w latach 70. Podpis rekonstruktora Andrzeja Pękalskiego z datą 1989 jest wyryty z tyłu na cokole. Współrzędne GPS: 50°19'50,2"N; 16°31'59,1"E.

Tajemniczości temu miejscu dodaje stojąca niemal naprzeciwko przy odejściu tzw. Ścieżki Wielkiego Strachu kamienna kapliczka słupowa z 1814 r. ze współczesnym obrazem NMP.

Kapliczka przy Ścieżce Wielkiego Strachu (2018)



Ogrójec w Bolesławowie (2010)



Śpiący św. Piotr (2010)

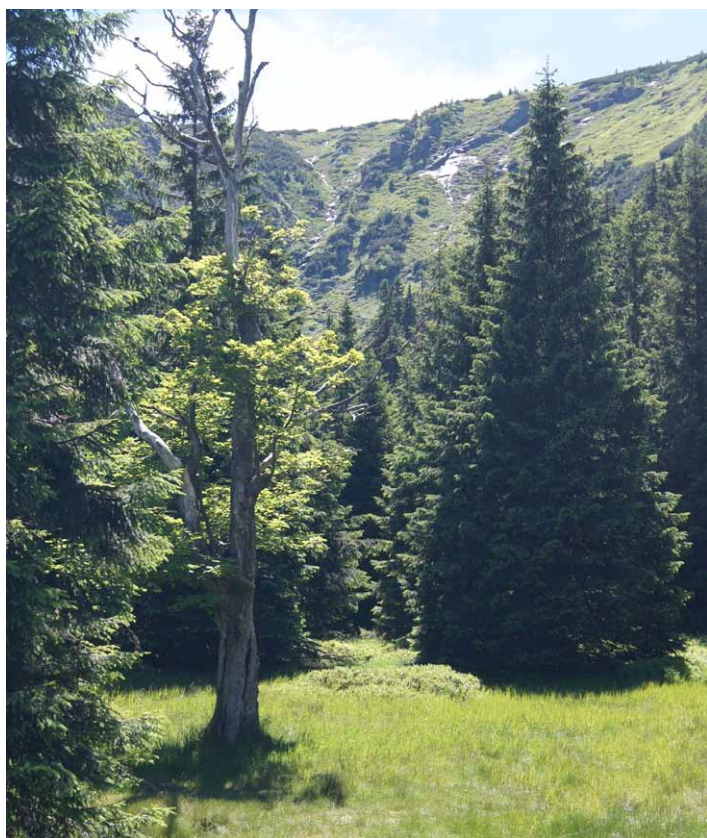
napomnienie Mistrza: *Schowaj miecz do pochwy. Czyż nie mam pić kielicha, który mi podał Ojciec?*

Okazuje się, że fragment tego (?) miecza – wg fachowców tasaka – jest przechowywany w Muzeum Archidiecezjalnym w Poznaniu, gdzie trafił (nie do muzeum, ale na Ostrów Tumski) w 968 r. jako dar papieża Jana XIII dla biskupa Jordana lub Mieszka I. Píše o tym Długosz, a współczesne badania nie wykluczają, że owa broń pochodzi z I w. i to z Bliskiego Wschodu...

Wracając do osobliwości przyrodniczych, godny wspomnienia, choć niedostępny obiekt, na tyle dziwny, że niektórzy nawet wątpią w jego istnienie, znajduje się w jednym z najbardziej uroczych miejsc w Karkonoszach, mianowicie w **Czarnym Kotle** zwanym też Jagniątkowskim. Cały ten kocioł jest rezerwatem ścisłym i podziwiać go można tylko z zielonego szlaku, czyli Ścieżki nad Regłami przebiegającej tu na długości kilkudziesięciu metrów po drewnianym pomoście nad podmokłym terenem źródliskowym Wrzosówki. U wylotu kotła jest Rozdroże pod Jaworem (nazwane od rosnącego tu niezbyt imponującego jaworu), z którego odbiega w dół krótki czarny szlak do Korolowej Ścieżki i Jagniątkowa, a powyżej tego rozwidlenia szlaków w głębi rezerwatu leży spory granitowy głaz (ok. 3 m wysokości i ok. 15 ton wagi) z wrytą literą W – słynny **Wędrujący Kamień**, *Wanderstein*.

Kapliczek i mniej lub bardziej słynnych kalwarii jest mnóstwo (Wambierzyce, Bardo, Lubawka i inne), ale nieczęsto zdarzają się tzw. Ogrójce (jest taki np. w Nowej Rudzie, choć tylko fragmentarycznie zachowany), czyli grupy figuralne przedstawiające nieudane czuwanie apostołów na Górze Oliwnej. Znakomicie zachowany, a w latach 2005-2007 jeszcze starannie odrestaurowany, **Ogrójec** znajduje się w **Bolesławowie** (pow. kłodzki) przy tzw. Drodze Staromorawskiej na Górze – a jakże! – Oliwnej w odległości ok. 20 minut marszu (żółtym szlakiem) od kościoła. GPS: 50°15'08,1"N; 16°53'25,9"E.

Jak wiadomo po Ostatniej Wierzy do ogrodu Getsemani Jezus zabrał Piotra i dwóch synów Zebedeusza, czyli Jakuba i najmłodszego z apostołów, Jana, późniejszego ewangelistę i taką też grupę realistycznie przedstawia instalacja w Bolesławowie. W centrum na postumencie klęczy anioł z kielichem goryczy, z boku jest postać modlącego się Jezusa, a poniżej leżą zmęczeni snem trzej apostołowie. Na postumencie z aniołem wykuto napis po niemiecku z zaszyfrowaną w chrostychni datą 1833. Wśród śpiących najłatwiej zidentyfikować Piotra leżącego na boku z jedną ręką pod głową, ale drugą położoną na mieczu. Niebawem, po nadejściu Judasza z kohortą, żeby aresztować Jezusa, Piotr tym mieczem obetnie ucho sługi arcykapłana, Malchosa i usłyszy



Czarny Kocioł z rachitycznym jaworem na pierwszym planie (2014)

Od końca XVIII w. obserwowano jego „wędrówkę” po dnie kotła, choć Tadeusz Steć w swoim przewodniku z 1965 r. pisał o tym z pewnym dystansem: *w r. 1807, 1818 i 1848 miał przesunąć się po kilkadziesiąt łokci*. Prezentowane tu czarno-białe zdjęcie pochodzi z 1962 r., czyli 3 lata od utworzenia Karkonoskiego Parku Narodowego, więc być może autor naruszył wówczas regulamin parku; cała nadzieja, że to wykroczenie uległo przedawnieniu, a karą jest kiepska jakość fotografii – teraz nie do powtórzenia – ale owo „W” na niej widać.

Choć nie wiadomo, czy jakiegokolwiek ściśle obserwacje Wędrującego Kamienia są teraz prowadzone, to geomorfolodzy dopuszczają takie ruchy wywołane siłami natury. Jak to działa w mikroskali, można się przekonać, idąc w mroźny dzień górską ścieżką pozbawioną śniegu. Jeżeli pod butami chrzęści zmarznięta ziemia, to warto się przyjrzeć, czy nie jest to tzw. lód włókniasty: cieniutkie słupki lodu wyrastające w górę i unoszące grudki ziemi i drobne kamyczki. Po stopieniu lodu te grudki opadają na zbocze już troszkę niżej niż leżały pierwotnie i w ten sposób „wędrują”.

Zalecenie na najbliższą jesień: uważnie obserwować rosnące słupki!

Witold Komorowski



Wędrujący Kamień (1962)



Suplement – tęgie głowy na Politechnice

Po ukazaniu się w sierpniowym „Na Szlaku” (<http://www.na-szlaku.net/files/Na%20Szlaku%2008-2023.pdf>) artykułu o wrocławskich głowach zwrócono mi uwagę, że pominąłem rzeźby z gmachu głównego Politechniki Wrocławskiej. Rzeczywiście tworzą one unikatowy zbiór i są godne zauważenia, ale też trzeba wiedzieć, gdzie ich szukać, bo specjalnie nie rzucają się w oczy – stąd ten suplement.

Po wojnie Politechnika znalazła siedzibę w ocalałych zabudowaniach dawnej Szkoły Technicznej w pobliżu Mostu Grunwaldzkiego, przy obecnym Wybrzeżu Wyspiańskiego. Królewska Wyższa Szkoła Techniczna (*Königliche Technische Hochschule*) została powołana do życia w 1902 r. decyzją cesarza Wilhelma II i osiem lat później cesarz uroczystie ją otwierał. Na zachowanych zdjęciach z tych uroczystości widać, że cesarz wkraczał do budynku głównym wówczas wejściem przez paradny portal zachodni (od ul. Norwida), do dziś nazywany portalem cesarskim.

Bogaty wystrój rzeźbiarski tego portalu z flankującymi go alegoriami nauki (z księgą, cyrklem etc.) i techniki (z młotem i kowadłem) jest dziełem Richarda Schipke, który jest też autorem innych rzeźb tak w gmachu głównym (obecnie A1) jak i innych powstałych w pierwszym etapie budowy uczelni. Prawdopodobnie jego dziełem jest np. ekspresyjna kolekcja pięciu głów hutników znajdująca się na zachodniej elewacji budynku dawnego Instytutu Hutniczego, obecnie B-1. Szczegółowe i profesjonalne omówienie bogatego wystroju rzeźbiarskiego budynków kampusu Politechniki jest w artykułach https://polska.org.pl/502869,Architektura_i_dekoracja_budynkow_Politechniki_Wroclawskiej.html oraz https://pwr.edu.pl/uczelnia/aktualnosci/lists_historia_17-6579.html.

W poszukiwaniu tytułowych „tęgiech głów” trzeba się przenieść przed pochodzącą z drugiej połowy lat 20. fasadę południową budynku (od strony Odry). Tam ponad wielkimi oknami auli, w trójkątnych obramieniach można wypatrzeć (jeżeli drzewa nie zasłaniają) dziewięć kamiennych głów będących portretami wybitnych, głównie XIX-wiecznych uczonych i inżynierów. Kika z tych postaci do dziś jest znanych, przynajmniej ze słyszenia, adeptom nauk ścisłych, o innych trzeba już szukać informacji w Wikipedii, choć kiedyś byli na tyle sławni, że od ich nazwisk nadawano nazwy asteroidom czy kraterom na Księżycu i Marsie.



Portal cesarski



Głowy hutników



Fronton południowy Politechniki



Fragment fasady z głowami uczonych



Ernst Werner von Siemens

Do znanych nazwisk bez wątplenia należy E. W. Siemens (1816 – 1892), wynalazca i konstruktor, założyciel firmy Siemens&Halske (obecnie międzynarodowy koncern Siemens AG). W elektrotechnice siemens (S) jest jednostką przewodności elektrycznej, czyli odwrotności oporu mierzonego w omach (Ω) – również ta nazwa pochodzi od nazwiska Georga Simona Ohma (1789 – 1854), ale jego w naszej galerii nie ma. Wizerunek Siemens jest na miejscu trzecim od lewej w szeregu uczonych.

Drugi z prawej strony to Hermann Helmholtz (1821 – 1894), lekarz, fizjolog i fizyk, ale też filozof, sformułował jedno z podstawowych praw fizyki – zasadę zachowania energii.



Hermann Ludwig Ferdinand von Helmholtz



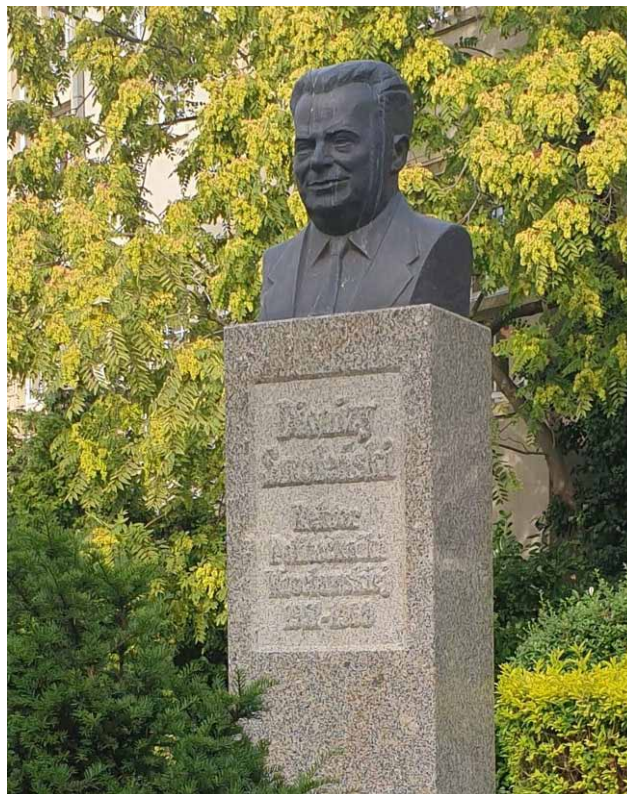
Georg Friedrich Bernhard Riemann

Z kolei Bernhard Riemann (1826 – 1866) – w galerii czwarty od prawej – uważany jest za jednego z najwybitniejszych matematyków wszechczasów, m. in. jego prace dotyczące przestrzeni wielowymiarowych umożliwiły Einsteinowi sformułowanie ogólnej teorii względności.

Ta galeria jest dziełem Kurta Bimlera – historyka sztuki i rzeźbiarza, będącego *nb.* w pewnym okresie pracownikiem *Technische Hochschule*. W 2003 r. na antresoli gmachu głównego Politechniki Wrocławskiej zorganizowano wystawę (Ryszard Czoch i Elżbieta Żołnierz) poświęconą w całości temu niemającemu precedensu, rzeźbiarskiemu portretowi zbiorowemu. Aktualne zdjęcia wszystkich dziewięciu postaci są na portalu Stow. Wratislaviae Amici https://polskaorg.pl/10521879,Wroclaw,Glowy_na_frontonie_Gmachu_Glownego.html.



Marian Smoluchowski



Dionizy Smoleński



Najnowszym pomnikiem na terenie kampusu Politechniki jest popiersie Mariana Smoluchowskiego (autorstwa **Janusza Kucharskiego**) odsłonięte w 2017 r. w czasie **44. Zjazdu Fizyków Polskich**. Marian Ritter von Smolan Smoluchowski (1872 – 1917) był nie tylko wybitnym fizykiem teoretykiem, ale też taternikiem i alpinistą (m. in. jako pierwszy Polak zdobył Matterhorn). Pomnik stanął w stosownym miejscu: na rogu ulic Łukasiewicza i... Smoluchowskiego.

Wcześniej na wewnętrznym skwerze między gmachem głównym a budynkiem Chemii ustawiono popiersie Dionizego Smoleńskiego (1902 – 1984), chemika, pierwszego rektora Politechniki po jej oddzieleniu od Uniwersytetu Wrocławskiego w 1951 r. Prof. Smoleński po swojej kadencji we Wrocławiu (1951–1960) był też w latach 1965–1969 rektorem Politechniki Warszawskiej.

Najstarszym, z 1974 r., powojennym pomnikiem „uczelnianym” jest wykute ze sjenitu popiersie Oskara Langego (autorstwa Władysława Tumkiewicza), które

Oskar Lange



stoi na dziedzińcu Uniwersytetu Ekonomicznego przy ul. Komandorskiej. Oskar Lange (1904 – 1965) znany ekonomista, polityk, członek najwyższych władz PZPR, członek Rady Państwa PRL, był patronem dawnej Wyższej Szkoły Ekonomicznej, poprzedniczki UE we Wrocławiu i stąd to wyróżnienie w tym miejscu.

Oprócz takich klasycznych upamiętnień wybitnych osób, jak opisane powyżej, Wrocław ma co najmniej kilka niebanalnych, bardzo różnorodnych w formie świetnych pomników stawianych nie – jakby nazwa wskazywała – „ku pamięci”, a raczej dla pobudzenia wyobraźni. Takim z pewnością jest „Przejście” na Świdnickiej, „Pociąg do nieba” na pl. Strzegomskim, „Powodzianka” na Moście Uniwersyteckim, „Węzełek” na ul. Czystej, „Kryształowa Planeta” na rogu św. Antoniego i Kazimierza Wielkiego czy kameralny „Fryderyk Chopin” Bronisława Chromego z serii jego „głów muzycznych” na Oławskiej – sympatyczna odrobina romantyzmu w zabieganym centrum miasta.

Witold Komorowski

Fryderykowi Chopinowi – wrocławianie

Ile jest wart Park Narodowy Gór Stołowych?

Park Narodowy Gór Stołowych (PNGS) to jeden z 23 polskich parków narodowych. Ten obszar chroniony znajduje się w Sudetach Środkowych, w południowo-zachodniej części Polski, w województwie dolnośląskim, w powiecie kłodzkim, przy granicy z Czechami. PNGS został utworzony 16 września 1993 roku, więc w tym roku mija 30 lat jego istnienia. Obecnie PNGS zajmuje ok. 63 km², jest więc nieco większy niż Karkonoski Park Narodowy.

Obszar PNGS jest cenny przyrodniczo, bo na jego terenie znajdują się jedyne w Polsce góry płytowe. Ponadto występuje tam rzadko spotykana flora (np. pełnik europejski zwany „różą kłodzką” – symbol Ziemi Kłodzkiej) i fauna (np. pająk *Bathyphantes eumenis*). PNGS przynosi mieszkańcom gmin, na terenie których się znajduje oraz turystom go odwiedzającym korzyści niematerialne (np. możliwość wypoczynku) i materialne (np. sposobność zarobku jako przewodnik). Materialne korzyści osiąga również PNGS, bo pobierane są opłaty za wstęp na trasy turystyczne po Szczelińcu Wielkim i Błędnym Skałach oraz za parking przy Błędnym Skałach. Korzyści materialne uzyskują również gminy, na terenie których znajduje się PNGS – chociażby z opłat klimatycznych.

W latach 2017 i 2018 odnotowano znaczny wzrost liczby turystów na obszarze PNGS. Wiąże się to z pewnością z rosnącą popularnością regionu. Zwiększona liczba turystów może wpłynąć na stan Parku Narodowego Gór Stołowych, dlatego jego wycena jest uzasadniona w świetle celu 15 Organizacji Narodów Zjednoczonych (ONZ), zadania 15.4.

Cel 15 ONZ zdefiniowano jako: „Chronić, przywrócić oraz promować zrównoważone użytkowanie ekosystemów lądowych, zrównoważone gospodarowanie lasami, zwalczać pustynnienie, powstrzymać i odwracać proces degradacji gleby oraz powstrzymać utratę różnorodności biologicznej”. Zadanie 15.4, które zostało zamieszczone w Agendzie na Rzecz Zrównoważonego Rozwoju 2030, sformułowano następująco: „Do 2030 roku zapewnić ochronę ekosystemów górskich, w tym ich różnorodności biologicznej oraz zwiększyć korzyści z nich płynące, które są niezbędne dla osiągnięcia zrównoważonego rozwoju”.

Określenie PNGS mianem „bezcenny” niewiele mówi jednak, gdy trzeba oszacować straty spowodowane przez klęski żywiołowe (np. ekstremalne warunki zimowe) czy intensyfikację ruchu turystycznego.

Do określenia ekonomicznej wartości walorów rekreacyjnych Parku Narodowego Gór Stołowych, które jest celem niniejszego artykułu, zastosowano metodę wyceny warunkowej. Metoda ta jest nazywana także CVM (z j. ang. contingent valuation method) lub metodą deklarowanych preferencji. W badaniach ankietowych wykorzystano jej pierwszy wariant – gotowość do zapłacenia za dobro środowiskowe (ang. willingness to pay, WTP). Kluczowe pytania zadane respondentom dotyczyły wprowadzenia dobrowolnej opłaty na rzecz Parku Narodowego Gór Stołowych i określenia maksymalnej kwoty, którą byłoby w stanie zapłacić w ciągu roku.

Badanie przeprowadzono zarówno w terenie, jak i przez Internet. Łącznie zgromadzono 365 wypełnionych ankiet. Wielkość frakcji założono na poziomie 0,5. Poziom ufności został ustalony na 95%, co oznacza, że na 95% można być pewnym uzyskanych wyników. Przyjmując te założenia i wielkość populacji (w tym wypadku turystów odwiedzających Park Narodowy Gór Stołowych w 2018 r.) wynoszącą 1,063 mln, określono błąd maksymalny na poziomie 5%.

Na poniesienie opłaty na rzecz PNGS nie zdecydowało się ok. 45% badanych. Dla osób, które by ją poparły, średnia arytmetyczna opłaty osiągnęła 32,71 zł. Mediana wyniosła 15 zł, zaś dominanta – 10 zł. Dla grupy osób popierającej dobrowolną kwotę na rzecz PNGS głównym uzasadnieniem jej wprowadzenia była troska o ochronę przyrody i krajobrazu.

W związku z tym, że uzyskana mediana była dwukrotnie niższa niż średnia arytmetyczna, sprawdzono skośność rozkładu dla podanych dobrowolnych kwot. Okazał się skośny prawostronnie, więc do dalszych obliczeń wykorzystano medianę zamiast średniej arytmetycznej.

Strumień korzyści generowany rocznie przez PNGS w ciągu roku obliczony przy założeniu 1063000 turystów z 2018 r. wyniósł 15945000,00 zł (prawie 16 mln zł). Wartość obecna walorów rekreacyjnych PNGS została obliczona przy wykorzystaniu wzoru na rentę wieczystą i założeniu referencyjnej stopy procentowej Narodowego Banku Polskiego (NBP) na poziomie 1,5%, która obowiązywała od 5 marca 2015 do 17 marca 2020 r. Wartość obecna walorów rekreacyjnych PNGS wyniosła 1063000000 zł (16 mln zł dzielone przez 1,5% równa się nieco ponad 1 mld zł).

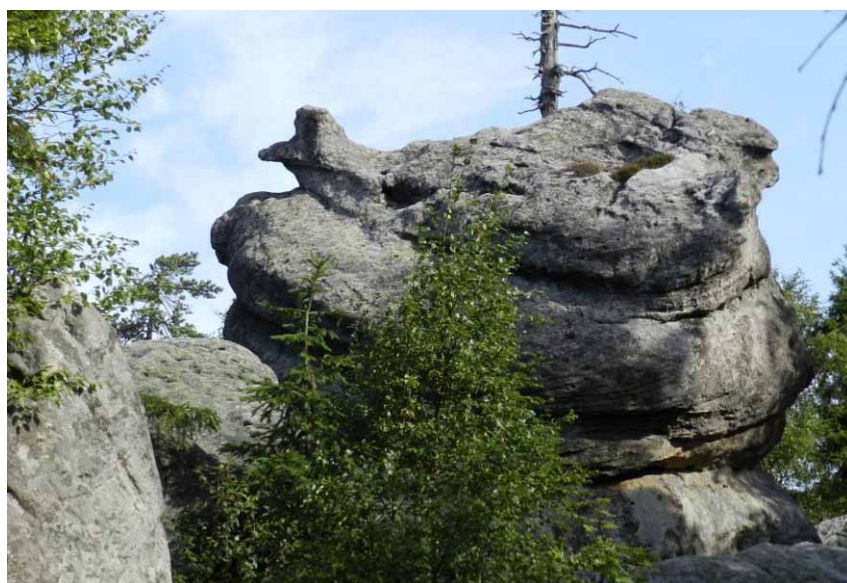
Wycena Parku Narodowego Gór Stołowych może wpłynąć na postrzeganie tego obszaru przez turystów i mieszkańców regionu. W związku z rosnącą antropopresją wiedza o ekonomicznej wartości walorów rekreacyjnych PNGS może przyczynić się do większej troski o środowisko przyrodnicze badanego obszaru.

Zbigniew Piepiora

Artykuł oparłem na publikacji: Piepiora Z.N., Błaszczuk J., *Ekonomiczna wartość walorów rekreacyjnych Parku Narodowego Gór Stołowych*. w: Kazak J, ed. *Zrównoważone miasta i regiony*. Wrocław: Wydawnictwo Uniwersytetu Przyrodniczego we Wrocławiu, 2022: 94-123. <https://www.dbc.wroc.pl/dlibra/publication/154880/edition/115169>



Małpolud



Kwoka

Pomnik upamiętniający mieszkańców Uniemyśla poległych w czasie pierwszej wojny światowej

Uniemyśl to wioska leżąca w powiecie kamiennogórskim pomiędzy Chełmskiem Śląskim i Okrzeszynie. Tak jak w innych okolicznych miejscowościach, także i w centrum tej wioski, noszącej niegdyś nazwę *Berthelsdorf*, po zakończeniu pierwszej wojny światowej ustawiono pomnik upamiętniający mieszkańców poległych podczas tego konfliktu. Jego dawny wygląd możemy poznać dzięki starej pocztówce, na której jedna z fotografii ukazuje *Krieger-Gedenkstein* (pol. *kamień upamiętniający żołnierzy*).

Pomnik ten istnieje do dziś, znajdziemy go przy głównej drodze wiodącej przez wioskę, niecałe 150 metrów od dawnej karczmy sądowej w stronę Chełmska Śląskiego. Wydaje mi się, że spośród wszystkich tego typu upamiętnień, jakie znajdują się na terenie powiatu kamiennogórskiego, zachował się on chyba w najlepszym stanie. Nie dostrzeżemy na nim żadnych uszkodzeń, a sam materiał, z jakiego go wykonano, nie uległ na przestrzeni lat dostrzegalnej erozji. Jedynie po czarnej farbie, wypełniającej niegdyś wyryte na nim litery, nie ma dziś najmniejszego śladu.

Upamiętnienie ma formę wykonanej z granitu steli o wysokości 240 cm i szerokości blisko 130 cm, jej grubość to 40 cm w górnej oraz 50 cm w dolnej części. Ustawiona jest ona na kamiennym bloku o szerokości 145 cm, a dopiero ten posadowiony jest na fundamencie. Sama płyta pomnika nie stoi na podstawie centralnie, lecz jest nieco odsunięta w lewą stronę i nieznacznie przekręcona. Przyczyną jest zapewne fakt, że w latach powojennych pomnik został przewrócony. Z komentarzy widocznych na stronie polska-org.pl wynika, że ponownie ustawił go, za pomocą ładowarki, jeden z pracowników kamieniołomu w Okrzeszynie.

Górna część granitowego bloku jest obrobiona w formie gładkiej płaszczyzny. Na jej szczycie, pomiędzy datami 1914 i 1918, znajduje się wypukły kształt Krzyża Żelaznego, niemieckiego odznaczenia wojskowego. Zaraz koło niego wyryto:

**starben den Heldentod
fürs Vaterland aus der Gemeinde
Berthelsdorf**

W języku polskim napis ten oznacza: *zginęli bohaterską śmiercią za ojczyznę z miejscowości Uniemyśl*. Poniżej wyryto imiona, nazwiska oraz daty śmierci poległych mieszkańców. Informacje o osiemnastu ofiarach wojny umieszczono w dwóch kolumnach, w każdej po dziewięć osób, a dziewiętnaste nazwisko wyryto centralnie pod dwiema kolumnami. Jeszcze niżej wyryto:

Ehre ihrem Andenken!

To zdanie należałoby przetłumaczyć jako: *Cześć ich pamięci!* Sama lista poległych ułożona jest według daty śmierci, jednak aby zachować chronologię, nazwiska należy odczytywać nie kolumnami, lecz wierszami, czyli najpierw pierwsze nazwisko z lewej kolumny, a następnie pierwsze nazwisko z drugiej kolumny. W ten sposób otrzymamy:

Paul Hoffmann
+ 9. 9.1914.
Reinhold Flegel
+ 16. 1.1915.
Emanuel Haasler
+ 27. 7.1915.
Dominikus Hanel
+ 24. 8. 1915.
Alfred Hartmann
+ 25. 9.1915.



Fragment przedwojennej pocztówki ukazującej pomnik w wiosce Berthelsdorf

Reinhold Glaser
+ 25. 9.1915.
Berthold Glaser
+ 8.10.1915.
Reinh. Schreiber
+ 18.10.1915
Gust. Kleinpeter
+ 5.11.1915.
Konrad Haasler
+ 13. 9.1916.
Heinrich Taube
+ 19. 1.1917.
Eugen Scholz
+ 21. 4.1917.
Heinrich Raabe
+ 20. 3.1917.
Paul Beer
+ 27. 1.1918.
Heinr. Joh. Stahel
+ 31. 3.1918.
Emil Müller
+ 29. 4.1918.
Reinh. Springer
+ 29. 5. 1918
Alfons Langer
+ 15.10.1918.
Josef Rösel
+ 20. 2.1919.



**Pomnik w wiosce Uniemysl.
Foto: Marian Gabrowski, czerwiec 2022 r.**

Ponieważ w 1911 roku Uniemysl miał 397 mieszkańców, toteż 19 poległych w czasie wojny stanowiło 4,8% ogółu. Jest to odsetek znacznie wyższy niż średnia powiatu wynosząca 3,2%.

Na pomniku, poniżej opisanych już inskrypcji, wyryto jeszcze motyw dekoracyjny, którym jest gałązka z dwoma liśćmi dębu i żołędziami.

Marian Gabrowski



Gałązka dębowa wyryta w dolnej części pomnika

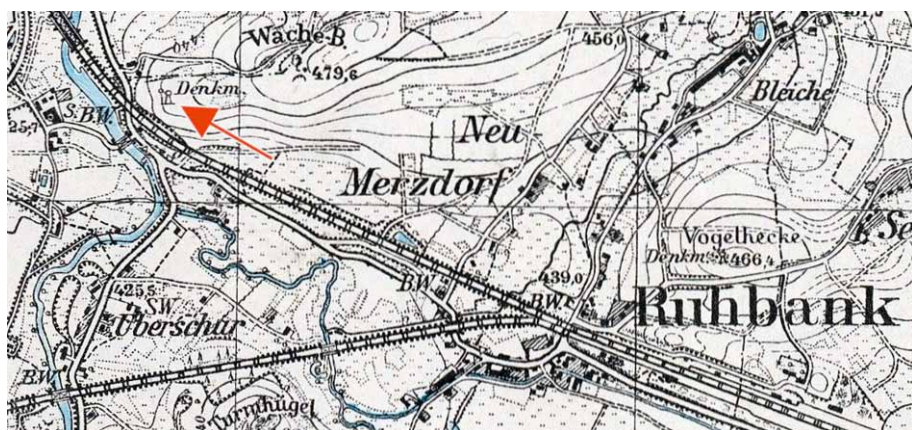
Zagadkowy pomnik z Sędziszawia

W lipcowym numerze pisma „Na Szlaku” opisałem sędziszawski pomnik Bitwy Narodów i cesarza Wilhelma II będący przykładem interesującego i bardzo dobrze zachowanego upamiętnienia z terenu powiatu kamiennogórskiego. Warto jednak zauważyć, że niecałe półtora kilometra dalej, również na terenie dzisiejszego Sędziszawia (niem. *Ruhbank*), zachował się jeszcze jeden pomnik, który jest dla mnie pewną zagadką.

Na jego lokalizację natrafiłem na archiwalnych mapach *Meßtischblatt*, które odpowiedni symbol ukazują na zboczu bezimiennego dziś wzniesienia noszącego przed wojną nazwę *Wache Berg*. Miejsce to znajduje się kilkadziesiąt metrów na północny wschód od charakterystycznego przejazdu, gdzie droga krajowa numer 5 przecina linię kolejową z Wałbrzycha do Jeleniej Góry. Sam pomnik zlokalizowany jest kilkadziesiąt metrów od granicy miejscowości: dziś Sędziszawia i Marciszowa, a niegdyś *Neu-Merzdorf* i *Ober-Merzdorf*.

Dotarcie w to miejsce nie stanowi problemu. Jednakże chciałbym zwrócić uwagę na fakt, że obecnie zbocza tej góry wykorzystywane są jako pastwisko, na którym prowadzony jest swobodny wypas bydła, w tym byków. Odwiedzając ten teren, warto więc zachować pewną ostrożność.

Sam pomnik zachował się w dość kiepskim stanie. Ma on kształt ściętego ostrosłupa czworokątnego o szerokości boku 100 cm u podstawy oraz 50 cm u góry, jego wysokość to 230 cm. Na wierzchołku znajduje się kilkunastocentymetrowy pręt stalowy o średnicy dwóch centymetrów, który zapewne podtrzymywał jakiś element wieńczący całość. Na boku skierowanym ku drodze widać też prostokątne zagłębienie o wymiarach 18×11 cm, jak gdyby po małej tablicy. Podstawa o wymiarach 2×2 metry również ma formę ostrosłupa czworokątnego, jednak o bardzo małym kącie nachylenia boków. Obelisk oraz podstawa wykonane zostały ze słabego betonu, który na przestrzeni lat uległ zwietrzeniu i dziś odpada całymi płatkami. Nigdzie nie widać śladów celowych uszkodzeń.



Fragment przedwojennej mapy Meßtischblatt z zaznaczoną lokalizacją pomnika



Marciszów, przejazd kolejowy w miejscu, gdzie droga krajowa nr 5 przecina linię kolejową z Wałbrzycha do Jeleniej Góry. W zaroślach na wzgórzu po lewej stronie znajdziemy opisywany tu pomnik

branych dotąd informacji nie potrafię ustalić, czego dotyczyło to upamiętnienie. Niewątpliwie nie był to pomnik poświęcony żołnierzom poległym w czasie Wielkiej Wojny, gdyż takowy wzniesiono w 1920 roku w centrum Sędziszawia i wryto na nim nazwiska mieszkańców wiosek Ruhbank i Neu-Merzdorf.

Liczę więc na to, że ktoś z Czytelników pisma „Na Szlaku” ma jakieś informacje na temat opisywanego tu obiektu i pomoże mi ustalić przeznaczenie tego zagadkowego pomnika z Sędziszawia.

Marian Gabrowski

Choć o pomnik pytałem mieszkańców pobliskiego gospodarstwa, to nie udało mi się uzyskać bliższych informacji na jego temat. Z rozmowy wynikało jedynie, że niegdyś miały znajdować się tu jakieś napisy. Niestety ja dziś nie potrafię dostrzec już śladów żadnych liter.

Poza kilkoma mapami, które ukazują w tym miejscu symbol pomnika, żadne z innych znanych mi źródeł nie wspomina o tym obiekcie. Dlatego na podstawie ze-



Zagadkowy pomnik z Sędziszawia widziany od przodu

Śmierć Maywalda

Przy drodze prowadzącej z Jagniątkowa do Michałowic i Piechowic, około stu metrów od pierwszych zabudowań w Michałowicach, stoi wśród jodeł granitowy blok, wysoki na prawie metr. Wryto na nim znak krzyża, a poniżej taki oto napis:

Tu
znalazł
śmierć
G. Maywald
17 września
1838

W rejestrze zgonów ewangelickiego kościoła w Piechowicach odnajdujemy następującą informację odnośnie do śmierci Maywalda:

21 września 1838 r. na cmentarzu ewangelickiego kościoła w Piechowicach w Karkonoszach został pochowany (z kazaniem pogrzebowym): Christian Gottfried Maywald, hrabiowski łowczy rewirowy z Michałowic w Karkonoszach, 17 września 1838 r. rano około godz. 6.00 śmiertelnie pobity w głowę przez 2 Czechów, kwadrans drogi od swojego miejsca zamieszkania, wskutek tych obrażeń (co stwierdzono po dokonaniu oględzin) zakończył swój żywot po południu o godz. 7.00 w wieku 40 lat, 1 miesiąca i 23 dni. Przyczyna zgonu: gwałtowna śmierć. (Księga zmarłych za rok 1838, strona 130, wpis nr 40)

17 września [1938] minęło dokładnie sto lat od śmierci leśniczego Christiana Gottfrieda Maywalda, również ci, którzy znali okoliczności jego śmierci, już dawno odeszli z tego świata. Ten niemy, skromny pomnik z karkonoskiego lasu przypomina o tym wydarzeniu, informacja z rejestru zgonów jest rzeczowa; urzędowy opis „gwałtownej śmierci” urzędnika zamordowanego podczas pełnienia służby z pewnością znajduje się w archiwum Schaffgotschów. Wędrowcowi, który dostrzeże ten przydrożny pomnik, nic nie mówi on o śmierci człowieka, dla którego postawiono go dokładnie w miejscu, gdzie dokonano zbrodni. Dlatego z powodu setnej rocznicy śmierci Christiana Gottfrieda Maywalda należy opublikować zapiski, które są w posiadaniu jego potomków – autor tego tekstu jest jego prawnikiem.

16 września 1838 była niedziela, na dodatek w Michałowicach niedziela odpustowa, słoneczny jesienny dzień. W tej zazwyczaj spokojnej osadzie panował tego dnia wesoły rwetes.

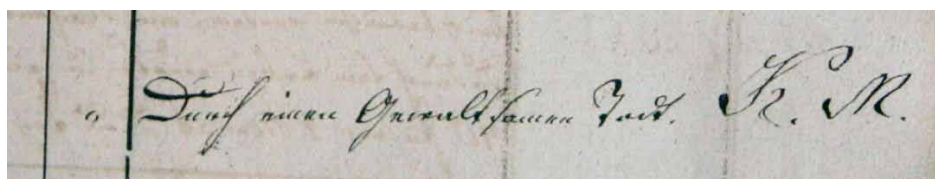
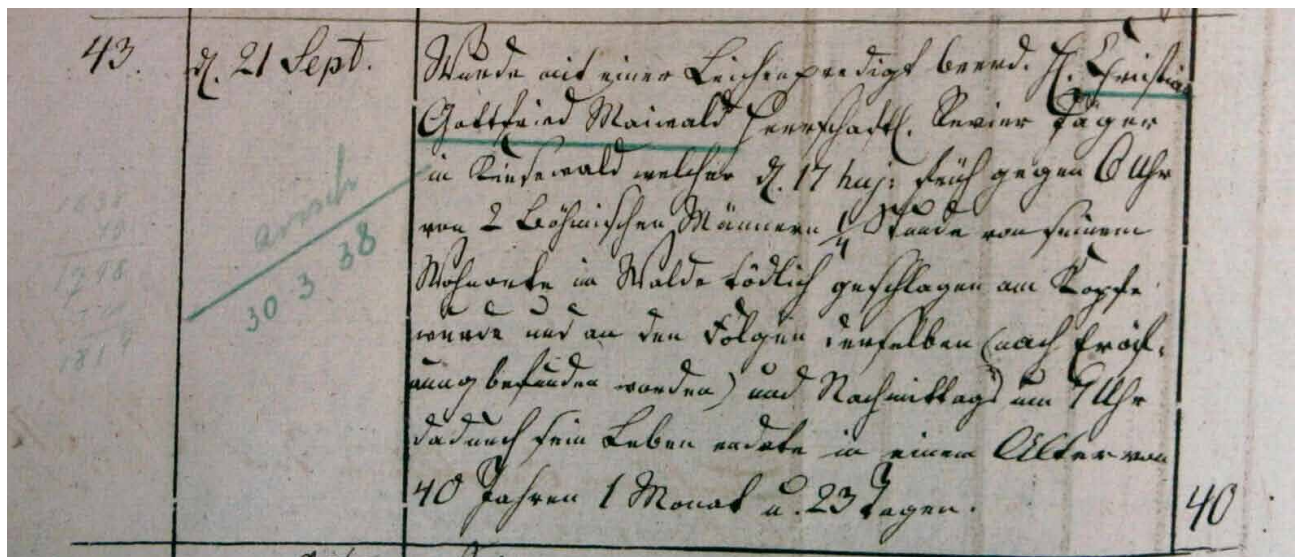
Wtedy jeszcze nie było letników, ale z okolicznych wiosek ściągnęli tu chłopcy i dziewczęta, którzy w karczmie u Glumma (obecna nazwa to Felsen-Schenke), ciesząc się, beztrudno tańczyli z mieszkańcami Michałowic. Wszędzie radość z odpustu! Starsi siedzieli w karczmie, popijali, kurzyli fajki i przyglądali się tańczącym parom. Przy stole w rogu izby siedział podleśniczy Christian Gottfried Maywald w towarzystwie blicharza Seidla z Piechowic. Maywald, łowczy co się zowie, był człowiekiem rosłej postury. Ledwie rok wcześniej



Kamień pamiątkowy w miejscu śmierci G. Maywalda.
Fot. Ullrich Junker



Lokalizacja pomnika



nr 43 Pochówek: 21 września 1838 r.

Został pochowany z kazaniem pogrzebowym. H. Christian Gottfried Maiwald, łowczy okręgu dworskiego w Kiesewald, który został zabity 17. około godziny 6 rano przez 2 czeskich mężczyzn ¼ godziny od jego miejsca zamieszkania w lesie i zmarł z powodu konsekwencji tego samego (po otwarciu), a po południu o godzinie 7 jego życie zakończyło się w podeszłym wieku. Jego życie zakończyło się w wieku 40 lat, 1 miesiąc i 23 dni.

40 (lat)

Uwaga:

Przez gwałtowną śmierć. K.M.

Adnotacja na zielono: „Aryan 30.3.38” została dodana w 1938 roku i odpowiada nastrojom III Rzeszy.

Zapis w księdze kościelnej Petersdorf „Tote Anno 1838” (Zgony w 1838 roku)

wprowadził się z rodziną do nowo wybudowanej leśniczówki w Michałowicach. Był bardzo oddany swojej pracy, w owym czasie szczególnie niebezpiecznej i trudnej ze względu na wielu kłusowników i złodziejasków leśnych, którzy pojedynczo lub całymi grupami zasadzali się po górskich lasach. Z Czech przybywali w grupach.

Również i tej niedzieli w karczmie pojawiło się trzech Czechów, dwóch silnych mężczyzn o pociągłych twarzach bez zarostu i jedna kobieta, która po swojej kolorowej chustce na głowie od razu dała się rozpoznać jako Czeszka. Niepostrzeżenie usadowili się przy piecu kaflowym i coś między sobą szeptali. W stronę „zielonego”, jak nazywano leśniczego, rzucali nieufne spojrzenia, a on baczenie im się przyglądał i tylko mocniej trzymał w rękach swoją strzelbę, którą zawsze nosił przy sobie. Maywald ich rozpoznał. Byli to Johannes Eichler z Eichlerowej boudy poniżej Brádrlerových boud, znany kłusownik i rzeźmieszek, Andreas Hallmann alias Baudenmann lub Andresl, oraz jego żona, Czeska Marie. Doszło do wymiany słów i leśniczy wyprosił przybyszów ze swojego rewiru. Nie przyszli tu na odpust, ale po to, by kłusować! W lesie olchowym był osiemnastak! Tropili go już od dawna! W karczmie zrobiło się ogólne zamieszanie i Czesi wykorzystali tę sytuację, aby dać drapakę. Wkrótce leśniczy poszedł do domu. Jednak nie dane mu było odpocząć. W poniedziałek, 17 września, już o piątej rano wyruszył do lasu. To był jego ostatni obchód!

Godzinę później – jego żona właśnie jadła śniadanie z ich czteroletnim synem, jedynym dzieckiem – dwóch mężczyzn z Michałowic przyprowadziło leśniczego, który był cały we krwi. „Nie bójcie się, nie umrę”, brzmiały jego ostatnie słowa; następnie padł bez czucia. Zmarł wieczorem, około siódmej, nie odzyskawszy

przytomności. Obrażenia wskazywały na to, że pobito go jego własną dubeltówką. Podczas zadawania ciosów broń nie wypaliła. Jednak zaginęła, prawdopodobnie zabrali ją kłusownicy.

Syn zabitego leśniczego Maywalda, Julius Maywald, również był leśniczym w służbie u hrabiego Schafgotscha. Jako adept leśnictwa trzykrotnie natknął się w piechowickim rewirze na okrytego złą sławą Eichlera, który natychmiast się odwracał, gdy tylko młody Maywald go rozpoznawał. Mówi się, że Eichler, przemycając towary, spadł w czeluść Śnieżnych Kotłów, a Baudenmann, czyli Andreas Hallmann, został zabity przez rozwścieczonego wołu. W ten sposób morderców wreszcie dopadło przeznaczenie – wszak za ten czyn nigdy nie odsiedzieli swej długiej kary więzienia.

Przydrożny pomnik zaświadcza o wiernym wypełnianiu obowiązków i pełnym poświęceniu dla służby.

Ulrich Junker
Thumaczenia Jowita Selewska

Na Przedgórzu Sudeckim

Pierwszym celem dzisiejszej trasy była Góra Krzyżowa w Strzegomiu. To miasteczko żyje z dobowania i obróbki granitu. Nigdzie indziej nie widziałem tak dużej ilości zakładów kamieniarskich produkujących nie tylko nagrobki, ale i wszelkiego rodzaju płyty i kostki do budowy domów, dróg czy ogrodzeń. Wokół działa kilka dużych kamieniołomów, liczne są też nieczynne już wyrobiska, czasami malownicze i duże.

Samochód zaparkowałem pod blokiem mieszkalnym, ponieważ wejście na górę zaczyna się na brzegu miasta. W lesie na zboczach rosną wyjątkowo wysokie lipy, trochę grabów, sporo dębów i klonów. Piękny, niezachwaszczony, jasny las. Byłbym zapomniał: rośnie też sporo klonów polnych, których nie widuje się u nas zbyt często.

Poznałem nieczynny kamieniołom na tej górze: kręta ścieżynka wiedzie skrajem przepaści na wysunięty cypel skalny, z którego widać pionowe, poszarpane ściany kopalni, ale i można nią zejść na dno wyrobiska. Ładne miejsce, w którym widać jak przyroda zabliznia rany zadane przez człowieka.

Ze szczytu góry rozpościera się rozległy widok, widać też domy i ulice miasta.

Na postumencie krzyża stojącego na szczycie wykuty jest napis upamiętniający bitwę odbyłą opodal między Prusami a Austrią o Śląsk w roku 1745. Są słowa o pojednaniu śmiercią i poczuciu dobrze spełnionego obowiązku.



Strzegom z Góry Krzyżowej



Na Górze Krzyżowej

Zirytowałem się, przeczytawszy te bzdury. Jaki obowiązek spełnili Prusacy czy Austriacy? Że zabili tych z naprzeciwka lub sami dali się zabić?? Zginęło wtedy kilkanaście tysięcy ludzi. Po co? W imię czego? Czy nie dla władzy i panowania? Nieodparcie nasuwa się skojarzenie z obecną wojną w Ukrainie. Ludzie zawsze mordowali się wzajemnie – i robią tak nadal.

U podnóża góry jest piękna aleja lipowa. Zawsze warto zatrzymać się i patrząc na letni krajobraz, spróbować wniknąć głębiej, pod powierzchnię obrazów tak znanych, że postrzeganych jako tuzinkowe. Może uda się wtedy poczuć magię letnich dni, czasu, w który za pół roku, w chmurne, krótkie i zimne dni, trudno będzie uwierzyć. Magię naszego dobrego czasu.

* * *

Skoro byłem w Strzegomiu, trudno było ominąć Gross Rosen, miejsce byłego hitlerowskiego obozu koncentracyjnego. Majdanek, obóz w moim rodzinnym Lublinie, zachował się niemal cały, tutaj po drewnianych barakach zostały tylko podmurówki, są jednak na terenie obozu miejsca czyniące wstrząsające wrażenie.

>>(…) Przy nieustannym wrzasku i biciu kopaliśmy ziemię i kuliśmy skałę, a musiało odbywać się to w ciągłym ruchu i biegu, bez odrobiny wytchnienia, bez chwili odpoczynku. (…) padaliśmy, ryliśmy skałę, ładowaliśmy taczki i biegiem, biegiem woziliśmy je na wskazane nam miejsca, wracaliśmy do swoich stanowisk z powrotem i znowu ładowaliśmy, kuliśmy granit, pokrwa-wieni, zaszczuci…<<

A obok stoi pan życia i śmierci tych ludzi, trzymając w ręku bicz, a przy nodze wilczura i wrzeszczy: schneller, schneller!!

Należę do pokolenia ludzi interesujących się wojną i znających ją z opowiadań naocznych świadków, także rodziców. Dla mnie takie słowa jak Gestapo, SS, hande hoch czy Gross Rosen miały i mają inną wymowę niż dla pokolenia ludzi młodych, urodzonych pół wieku po wojnie. Jest w nich groza wojny i śmierci.

>>Nieodłącznym i bardzo uciążliwym towarzyszem normalnego więźnia nie otrzymującego paczek z zewnątrz był ustawiczny ssący trzewia głód.<<



Brama obozu Gross Rosen



Mauzoleum



Uschnięte drzewo w obozie

Napis na tablicy mauzoleum:

>>Mauzoleum więźniów ze wszystkich krajów Europy pomordowanych przez hitlerowskich barbarzyńców wzniosło państwo polskie w 1953 roku<<

Dokładnie tak: pomordowanych przez barbarzyńców! Kiedyś wysłuchałem fragmentu dyskusji dziennikarzy, było coś o moralności Niemców. Jeden z rozmówców powiedział mocne, ale przecież do głębi prawdziwe słowa: „Pomnik moralności Niemców jest w Treblince”.

Takim pomnikiem jest też Gross Rosen, są tysiące innych miejsc kaźni rozsianych po całej Europie.

Miejsce, które najbardziej mną wstrząsnęło, to skarpa z uschniętym drzewem i tablicami pamiątkowymi.

>>Na tej ziemi spoczywają umęczone ciała 40 tys. niewinnych ofiar ludzkiego zaślepienia i nienawiści. Nad tą ziemią unosi się i trwa niemy krzyk.

Bracie, czemuś mi to uczynił!

„Nikommu złem za zło nie odpłacacie”. Rz. 12, 17<<

Też uważam, że nie powinno się złem płacić za zło, ale czy rozdeptanie karalucha lub stonki jest złem? Czy można taki czyn uznać za przejaw nienawiści?

„Ku pamięci moich towarzyszy niedoli zamordowanych w czasie marszu śmierci...”

„Tutaj zmarli belgijscy niewolnicy z Aarschoot”

„Pamięci zamęczonych w KL Gross Rosen więźniów Żydów”

„...którzy zostali tu na zawsze”

„...pracowali, cierpieli i ginęli...”

Kamieniolom przy obozie. Patrząc na to malownicze miejsce, łatwo zapomnieć o tym, że przez kilka lat pracowało tam w morderczych warunkach tysiące więźniów. Byli potłuczeni, poranieni, głodni, skrajnie wyczerpani, a poganiano ich wrzaskiem, biczami i grozą szubienicy. Wiele mówi wstrząsająca w swojej wymowie płaskorzeźba w holu budynku muzeum.

O miejscu straceń.

>>W tym miejscu odbywały się też często egzekucje przez podanie trucizny. „Wszystkie ofiary musiały rozebrać się w baraku w pobliżu krematorium. (...) W następnym pomieszczeniu skazańcy musieli kłaść się na pryczę, gdzie lekarz obozowy dawał im zastrzyk cyjanku w serce. Więźniowie umierali w ciągu kilku sekund.”<<

Czy wiecie, że w obecnym czasie, ledwie tysiąc kilometrów od nas, jeńcy wojenni tak okrutnie byli katowani w ruskich kaźniach, że prosili o śmierć?...

Stojąc na placu apelowym obozu, widzi się pola i malownicze Wzgórza Strzegomskie. Chciałoby się pójść tam i iść jeszcze dalej, dalej...

Co mogli czuć ludzie tutaj więzieni i torturowani, patrząc na te wzgórza?

PS. W znaki >><< i „” ująłem słowa wykute na kamiennych tablicach lub przepisane z fotokopii dokumentów eksponowanych w muzeum.

Opisy moich górskich wędrówek, uzupełnione zdjęciami, są w dwóch książkach dostępnych w wielu księgarniach internetowych. To „Sudeckie wędrówki” i „Góry Kaczawskie słowem malowane”.

Krzysztof Gdula

Autobusem na sudeckie wycieczki do Kudowy-Zdroju w 1952 r.

Już pod koniec lat 40. XX w. do – położonej na pograniczu Gór Stołowych i Pogórza Orlickiego – Kudowy-Zdroju można było dojechać liniowymi autobusami PKS¹. Wybierający się tam na krótką wycieczkę, dłuższy wypoczynek czy też na leczenie uzdrowiskowe mieli wówczas możliwość dojechania do wspomnianej miejscowości również pociągiem². Jeżeli chodzi o liniowe autobusy to przykładowo w okresie od 5 października 1947 r. do 1 maja 1948 r. do Kudowy-Zdroju kursować miały one z Kłodzka dwa, a może nawet³ trzy razy w ciągu doby i tyle samo jeździć miało w przeciwnym kierunku⁴. Pojazdy PKS⁵ na linii z Kłodzka do Kudowy-Zdroju miały wówczas wyznaczone przystanki oznaczone w rozkładzie jako: „KŁODZKO D. A.”, „Polanica Zdrój”, „Rucewo”, „Duszniki Zdrój”, „Lewinowo” i „KUDOWA ZDRÓJ” (pisownia oryginalna)⁶. Nieco później pojawiło się na krótko również połączenie autobusowe pomiędzy Kłodzkiem i tytułową miejscowością inną trasą – przez Radków i Karłów⁷. Jadąc pojazdami obsługującymi tę ostatnio wymienioną linię można więc było w czasie takiej podróży zaliczyć sobie pewien fragment wyższych partii Gór Stołowych. Jechać one miały bowiem także Drogą Stu Zakrętów⁸. Połączenie to zniknęło jednak potem z rozkładu jazdy⁹ na pewien czas. Pojawiło się ono ponownie w okresie obowiązywania rozkładu ważnego od 20 maja 1951 r. do 6 października 1951 r. Wtedy też w rozkładzie jazdy zaistniały nieliczne kursy między Polanicą-Zdrojem i Kudową-Zdrojem przez Radków i Karłów oraz pomiędzy tytułową miejscowością i Karłowem. Nadal istniało też wówczas połączenie Kłodzka z tytułową miejscowością trasą przez Polanicę-Zdrój i Duszniki-Zdrój¹⁰.

Jak wynika z książki autorstwa Wojciecha Walczaka pt. „Ziemia Kłodzka Kotlina Kłodzka i góry przyległe przewodnik turystyczny”, której druk ukończono w grudniu 1951 r., podróż autobusem PKS z Kłodzka do Kudowy-Zdroju zajmowała mniej czasu, aniżeli przejazd pociągiem osobowym z Kłodzka Głównego do stacji kolejowej w tytułowej miejscowości. Autobus miał jechać bowiem „1 godz. 25 min.”, podczas gdy pociąg osobowy relacji Kłodzko Główne – Kudowa-Zdrój jechać miał „1 godz. 48 min.”¹¹. Ta „1 godz. 25 min.” dotyczyła być może rozkładu jazdy ważnego od 8



Droga krajowa nr 8 na przełęczy Polskie Wrota w 2018 r.

1 Zob. np. „Załącznik nr 1 do Urzędowego Rozkładu Jazdy Zima 1947/8 Państwowa Komunikacja Samochodowa PKS Rozkład Jazdy wraz z postanowieniami przewozowymi i taryfowymi ważny 5. X. 1947 – 1. V. 1948 r.”.

2 Zob. np. „Polskie Koleje Państwowe Urzędowy Rozkład Jazdy Ważny od 5 października 1947 r. do 1 maja 1948 r.”. Wśród pociągów dojeżdżających wówczas do Kudowy-Zdroju były także bezpośrednie pociągi relacji: Warszawa Gł. – Kudowa Zdr., Łódź Kal. – Kudowa Zdrój, czy też Poznań – Kudowa Zdrój. W nazwie stacji kolejowej Kudowa Zdrój, jak widać, nie było wówczas dywizu.

3 W wydawnictwie obejmującym rozkład jazdy autobusów z tamtego okresu przy jednym z kursów na trasie „KŁODZKO D. A.” – „KUDOWA ZDRÓJ” figuruje oznaczenie opisane w nim jako „Znak ten umieszczony w rubryce rozkładu kursu oznacza, że samochód na razie nie kursuje. O uruchomieniu nastąpi oddzielne ogłoszenie.”. Takie samo oznaczenie widnieje przy jednym z kursów w przeciwnym kierunku.

4 „Załącznik nr 1 do Urzędowego Rozkładu Jazdy...”, op. cit., s. 56.

5 Niezależnie od brzmienia pełnej nazwy przedsiębiorstwa, której fragment stanowi zwrot „Państwowa Komunikacja Samochodowa” w dalszej części tego artykułu określane jest ono jako „PKS”.

6 „Załącznik nr 1 do Urzędowego Rozkładu Jazdy...”, op. cit., s. 56.

7 „Urzędowy Rozkład Jazdy Ważny 9. V – 2. X. 1948 r.”, Warszawa, brak roku wydania, s. 235.

8 Tomasz Rzczycki, „Zagadka Drogi Sudeckiej”, Kraków 2013, s. 77-78.

9 Zob. także Ibidem.

10 „Urzędowy Rozkład Jazdy Autobusów ważny 20.V. – 6.X.1951”, Warszawa, brak roku wydania, s. 250.

11 Wojciech Walczak, „Ziemia Kłodzka Kotlina Kłodzka i góry przyległe przewodnik turystyczny”, 1951, s. 5-6.

października 1950 r. do 19 maja 1951 r.¹², bowiem w kolejnych dwóch edycjach rozkładu obowiązującego w dalszej części 1951 r. czas przejazdu między Kłodzkiem i Kudową-Zdrojem był już nieco dłuższy i wynosił odpowiednio – godzinę i 26 min. (w tym ważnym do 6 października 1951 r.) oraz godzinę i 27 minut (w tym ważnym od 7 października 1951 r.)¹³.

Wspomniany ostatnio rozkład jazdy obowiązywał do 17 maja 1952 r. I w ten oto sposób – po takim nieco może przydługim „wstępie” – czas przejść do tytułowego 1952 r.

Jakie były wówczas możliwości dojazdu liniowym autobusem do Kudowy-Zdroju? Otóż do tytułowej miejscowości dało się wtedy dojechać bezpośrednim autobusem z Kłodzka cztery razy na dobę. Odjazdy z Kłodzka przewidziane były na godziny: 8:00, 13:00, 17:30 i 19:40. Tyle samo kursów przewidzianych było w przeciwnym kierunku. Z Kudowy-Zdroju autobusy PKS startować miały o godzinach: 6:20, 10:00, 15:25 i 19:10¹⁴. Z takich więc połączeń mogły skorzystać osoby planujące dojazd na wczasy, krótką wycieczkę, czy też na leczenie uzdrowiskowe, a które chciały dojechać do Kudowy-Zdroju liniowym autobusem PKS. Czy była to duża ilość połączeń? Każdy może to sobie ocenić sam. W „Jeleniogórskim Słowie Polskim” z 22 stycznia 1952 r. ukazała się natomiast wzmianka prasowa, w której napisano, iż „*ilość autobusów między Kłodzkiem z Kudową jest dostateczna*” (pisownia oryginalna). Uskarżano się w niej jednak na regularne opóźnienia kursów¹⁵.

Dość późną wiosną 1952 r. – konkretnie 18 maja 1952 r. – wszedł w życie nowy rozkład jazdy autobusów¹⁶. Zgodnie z nim z Kłodzka do Kudowy-Zdroju dało się dojechać siedmioma autobusami w ciągu doby. Tyloma też autobusami PKS można było odjechać z tytułowej miejscowości do Kłodzka. Zaznaczyć wypada jednak, że tylko jeden z kursów zaczynających się w Kłodzku, a realizowanych do Kudowy-Zdroju miał ostatni przystanek w Kudowie-Zdroju właśnie. A co było z pozostałymi kursami? Otóż z tabeli rozkładu ważnego od 18 maja 1952 r. wynika, że pozostałe liniowe autobusy PKS jadące z Kłodzka w stronę Kudowy-Zdroju tylko przez tę ostatnio wymienioną miejscowość przejeżdżały, zdążając docelowo do... Kłodzka. „Robiły” więc takie długie „kółko”. Długie – autobusy z Kłodzka do Kłodzka przez Kudowę-Zdrój mogły bowiem pokonywać dystans 95 km. Jakie przystanki znajdowały się na trasie przejazdu tych pojazdów? Otóż były to przystanki: „KŁODZKO, dw. kol.”, „Szalejów Górny”, „Polanica Zdr.”, „Szczytno”, „Duszniki Zdr.”, „Ludowe”, „Lewin”, „Jeleniów”, „Kudowa, dw. kol.”, „Kudowa Zdr.”, „Karłów”, „Radków”, „Wambierzyce”, „Chocieszów”, „Polanica Zdr.”, „Szalejów Górny”, „Szalejów Dolny” (ten ostatni tylko w wybranych kursach) oraz „KŁODZKO, dw. kol.” (pisownia oryginalna). Rozkład był ułożony tak, że trzy kursy na tej linii realizowane były z Kłodzka m.in. przez Polanicę-Zdrój, Radków, Kudowę-Zdrój, Duszniki-Zdrój i dalej do Kłodzka, natomiast trzy pozostałe, zaczynające trasę w Kłodzku kierowały się do... Kłodzka m.in. przez: Polanicę-Zdrój, Duszniki-Zdrój, Kudowę-Zdrój, Radków i znów przez Polanicę-Zdrój do Kłodzka. Trzeba przyznać, że trasy te były – pod względem krajoznawczym i krajobrazowym – bardzo atrakcyjne. Można było w ten sposób przewieźć się choćby wspomnianą już Drogą Stu Zakrętów, czy też przejechać przez przełęcz Polskie Wrota (660 m n.p.m.). Poza wspomnianymi kursami był jeszcze jeden, który zaczynał się w Kudowie-Zdroju, natomiast kończył się w Kłodzku¹⁷. Tak było, a przynajmniej – miało być – późną wiosną, latem i wczesną jesienią 1952 r.

A co było bliżej końca tytułowego roku w zakresie połączeń autobusowych do Kudowy-Zdroju? Na co mogły liczyć wówczas osoby chcące dojechać do tej miejscowości np. celem rozpoczęcia tam pieszej wycieczki w Góry Stołowe? Otóż pięć razy na dobę można było odjechać autobusem PKS z Kłodzka do Kudowy-Zdroju. Tyle samo kursów przewidzianych było w przeciwnym kierunku. Trasa wiodła m.in. przez Polanicę-Zdrój i Duszniki-Zdrój. Odjazdy z Kłodzka przewidziane były na godziny: 8:00, 11:20, 13:00, 17:00 i 20:20, natomiast z przystanku oznaczonego w rozkładzie jako „Kudowa Zdr.” – na godziny: 6:00, 9:40, 13:10, 15:10 i 19:00¹⁸. W sumie więc jakiś wybór połączeń był.

Czy i ile osób skorzystało z tych połączeń udając się do Kudowy-Zdroju, celem rozpoczęcia tam górskich wycieczek? Nie wiem. Na podstawie analizy rozkładów jazdy, treści przywołanej wzmianki prasowej jak i także przywołanego przewodnika wynika natomiast, że w 1952 r. istniała możliwość dojazdu liniowym autobusem PKS do Kudowy-Zdroju.

Bartosz Skowroński

12 „Urządowy Rozkład Jazdy ważny od 8. X. 50 – 19. V. 51 r.”, Warszawa, brak roku wydania.

13 Zob. „Urządowy Rozkład Jazdy Autobusów ważny 20.V. – 6.X.1951”, Warszawa, brak roku wydania, s. 250; „Urządowy Rozkład Jazdy Autobusów ważny 7. X. 1951 – 17. V. 1952”, Warszawa, 1951, s. 198.

14 „Urządowy Rozkład Jazdy Autobusów ważny 7. X. 1951 – 17. V. 1952”, op. cit., s. 198.

15 (mak), „Też system” [w:] „Jeleniogórskie Słowo Polskie”, AB, nr 19 (1839), 22 stycznia 1952.

16 „Urządowy Rozkład Jazdy Autobusów ważny od 18. V. 1952 do 4. X. 1952”, Warszawa, 1952, s. 210.

17 Ibidem.

18 „Urządowy Rozkład Jazdy Autobusów ważny od 5. X. 1952 do 16. V. 1953”, Warszawa, 1952, s. 218.

MIEDZIANKA – opuszczone miasto-widmo

Już w latach 70. XX wieku naukowcy Uniwersytetu Wrocławskiego, głównie specjaliści geografii ekonomicznej i regionaliści, prowadzili badania dotyczące zanikania na Dolnym Śląsku, a zwłaszcza w Sudetach, małych miejscowości i wsi. Trzeba jednak stwierdzić, że proces zanikania w Polsce małych miejscowości w okresie powojennym dotyczył całego kraju.

Skupiając się jednak na Dolnym Śląsku, przypomnijmy te miejscowości, które przestały istnieć. Będzie to Pstrąžno k/Bolesławca, gdzie znajdowała się baza wojsk radzieckich. Po opuszczeniu przez nich miejscowość zamarła. Leżące niedaleko Jawora wsie Żarek i Brachów zatopiły wody tworzonego zalewu Słup na Nysie Szalonej. Zalew powstał dla tworzonego systemu zaopatrywania w wodę pitną Legnicy i LGOM. Leżąca wysoko w Karkonoszach na zboczu Kowarskiego Grzbietu wioska Budniki wymarła. Mieszkańcy ją opuścili ze względu na trudne warunki życia. Tutaj bowiem przez 113 dni w roku nie dociera światło słoneczne. Wróblin Głogowski (wieś ob. w granicach Głogowa) został opuszczony przez mieszkańców. Leży on w bezpośrednim sąsiedztwie Huty Miedzi Głogów. Zdegradowanie środowiska naturalnego przez hutę zmusiło mieszkańców wsi do jej opuszczenia. Wsie Barszów, Kalinówka i Pielgrzymów przestały istnieć, gdy ich teren zalały odpady poflotacyjne z procesu przeróbki rud miedzi. Powstał zbiornik Żelazny Most usytuowany między Rudną, Polkowicami i Lubinem. Jest to największy w Europie tego typu zbiornik (widoczny nawet z kosmosu).

Do miast widm należy również Miedzianka.

Miedzianka to w dawnych czasach jedno z najmniejszych miasteczek Dolnego Śląska. Urokliwie położona, niedaleko od Jeleniej Góry, u stóp Rudaw Janowickich, z widokiem na Góry Sokoliki. Miejscowość, która prawa miejskie i status górniczego, wolnego miasta otrzymała w roku 1519 od króla Czech – Ludwika Jagiellończyka. Pamiętamy, że wtedy Śląsk należał do Korony Czeskiej. Zaś prawa miejskie utraciła w 1945 r. zdegradowana do rangi wsi. Miedzianka była ważnym ośrodkiem górnictwa rud miedzi, srebra i cynku. Jeśli chodzi o miedź, to Miedzianka jest najstarszym ośrodkiem jej wydobycia na Dolnym Śląsku. Eksploatację rud miedzi rozpoczęto tu już na początku XIV w. Trwała ona do roku 1927, kiedy ostatecznie zakończono jej wydobywanie, choć wydobycie tej rudy spadało już od początku XIX w. Od XVI w. w Miedziance prowadzono też działalność hutniczą – wytop miedzi. Produkowano też tutaj witriol stosowany do celów garbarskich i farbiarskich. Fabryka ta miała znaczący udział w produkcji witriolu w całym Cesarstwie Austriackim. O działalności hutniczej świadczą liczne hałdy żużla hutniczego. Po II wojnie światowej Rosjanie rabunkowo wydobywali tu rudę uranu. W okresie rozkwitu górnictwa istniało tu ponad 160 szybów i sztolni. Gdy nastąpiło całkowite wyczerpanie się złóż i zamknięto kopanie, część ludności zajęła się tkactwem.

Na początku XX w. Miedzianka stała się ważną miejscowością turystyczno-wypoczynkową w Prusach licznie odwiedzana przez wczasowiczów.

Stąd są przecież piękne widoki na Karkonosze, Góry Kaczawskie, Rudawy Janowickie i dwa charakterystyczne szczyty Sokolików, popularnie zwane Biustem Lolobrigidy. Miasteczko miało dobrze rozwiniętą infrastrukturę miejską. Działały 2 kościoły: katolicki i ewangelicki, cztery gospody, szkoły, apteka, 4 browary, zakład kamieniarski, warsztaty rzemieślnicze i sklepy, a nawet zakład



Miedzianka na przedwojennej grafice

produkcji pościeli. Miasteczko to posiadało wielowiekowe tradycje browarnicze. Pierwszy browar powstał tu w XV w.

Po zakończeniu II wojny światowej ludność niemiecką wysiedlono. Zmieniono niemiecką nazwę miejscowości z Kupferberg (Cu – to chemiczny symbol miedzi, stąd miedziowe miasto) na Miedzianka i zdegradowano osadę do rangi wsi. Zaczęli do niej przybywać polscy osadnicy, głównie z Polski centralnej, m.in. z Kalisza, Mławy. Z niemieckiego cmentarza zrobiono pastwisko dla krów. Płyty z grobowców rozwlekano po całej wsi.

Wśród osadników znalazł się też Stefan Spisz, który wrócił z Niemiec, gdzie był wywieziony na przymusowe roboty. Pracował tam w browarze. Stąd od władz otrzymał zadanie uruchomienia w Miedziance ponemieckiego browaru, co niebawem nastąpiło. Jego syn Bogdan jest właścicielem restauracji Spisz we wrocławskim Rynku, w której znajduje się też browar.

Niemcy wiedzieli o złożach rud uranu w Miedziance, lecz ich nie eksploatowali. Uczynili to Rosjanie, którzy spowodowali uruchomienie w Miedziance kopalni rudy uranu. Wydobywano tę rudę w latach 1948 – 1952. Była ona wywożona do ZSRR. Rabunkowo prowadzona działalność górnicza spowodowała w Miedziance liczne szkody górnicze. Zaczął zapadać się grunt nad sztolniami. Pierwsza zapadła się czereśnia w ogrodzie jednego z mieszkańców, potem powstawały kolejne zapadliska. Zapadł się budynek kuźni, konie pracujące w polu. Runęła jedna ze ścian kościoła ewangelickiego. Domy zaczęły pękać. W 1972 roku podjęto decyzję o wysiedleniu z Miedzianki całej miejscowej ludności. Wysadzono kościół ewangelicki i szereg domów. Miedzianka przestała istnieć. Obecnie w miejscowości znajduje się jedynie wiele wejść do piwnic, a Miedziankę otaczają liczne hałdy i ugory.

Z dawnego miasteczka zachował się jeno kościół katolicki pod wezwaniem św. Jana Chrzciciela z 1. połowy XIX w., brama wejściowa do nieistniejącego pałacu, niszczący fragment budynku dawnego browaru, gdzie dawniej produkowano słynne piwo Złoto Miedzianki, gospoda Czarny Orzeł (niem. Schwarzer Adler) i krzyż pokutny.

Jednak pod koniec lat 90. XX w. do Miedzianki zaczyna wracać życie. Nieistniejąca miejscowość zostaje spopularyzowana przez reportera i fotografa prasy (publikującego w takich czasopismach jak *Polityka*, *Przekrój* czy *Znak*). To również długoletni instruktor ZHP Filip Springer. W 2011 r. ukazuje się jego literacki reportaż *Miedzianka. Historia zanikania*. Autor odtwarza w niej bogatą i wielowiekową tradycję Miedzianki. Ukazuje ludzi w niej żyjących. Jej tajemnice oraz jej agonię. Powoli zaczynają przybywać, wprawdzie nieliczni, nowi mieszkańcy. W 11 remontowanych domach w 2013 roku mieszka już kilkanaście osób. W latach 2014 – 2015 przedsiębiorca i piwowar z Wrocławia buduje restaurację i domowy Browar Miedzianka, w którym ponownie produkuje się piwo. Browar i restauracja zostają coraz liczniej odwiedzane przez turystów. W niedziele liczba gości często przekracza 100 osób. Z inicjatywy Springera, w budzącej się do życia wsi, organizowany jest festiwal literacki. Biorą w nim udział m.in. laureatka literackiej Nagrody Nobla – Olga Tokarczuk czy Mariusz Szczygieł – autor głośnej książki o Czechach *Gottland* (przetłumaczonej na kilkanaście języków, a wydanej nawet w USA). Na festiwalu spotykają się miłośnicy literatury.

Tak się kiedyś złożyło, że jeszcze przed pandemią koronawirusa odwiedziłem Browar Miedzianka. Skosztowałem smacznego obiadu (choć nie zanocewałem – bo jest taka możliwość, gdyż browar dysponuje kilkoma pokojami noclegowymi). Byłem w towarzystwie naukowca – specjalisty fermentacji. Stąd długotrwała naukowa dyskusja z właścicielem browaru na tematy produkcji piwa. A i pakietem piw zostaliśmy obdarowani. Niestety już wszystkie wypite.

Warto więc jechać do Miedzianki, podziwiać wspaniałe widoki, zatopić się w myśleniu o jej przeszłości no i oczywiście spróbować jednego z miejscowych piw.

Stanisław Dziuba



SUDETY W POEZJI (9)

(Z dzieła *Sudety w poezji, wybór tekstów XVII-XX w.*, opracowanego przez Przemysława Danielewskiego oraz Piotra Dacko, Elżbietę Książek i Witolda Papierniaka, z 1986 r.)

Edward Kozikowski

RYNEK JELENIOGÓRSKI

Tu barokowych kamieniczek wachlarz
roztacza wdzięki jak dama ze sztychu –
i choć czas płynie – łódź o zdartych żaglach –
urok zaklęty, jak wino w kielichu,
pociąga oczy i barwą, i kształtem –
i nikt się oprzeć nie jest zdolny krasie,
która czaruje i uwodzi gwałtem,
jak w słońcu zapach plastrów miodu z pasiek.

Rynku, ze wszystkich najpiękniejszy rynków,
na cóż mi cuda Florencji i Sieny!

Tu, w ceglach domów twych, pod warstwą tynku,
Polską oddycha jak na polach Jeny.

Z trudu i potu polskich najemników,
z murów wznoszonych pracowitą ręką,
stałeś się pięknem, które umie przykuć
oczy przechodnia i czarować wdziękiem.

Z harmonii stylu i w mozołe ramion,
wyrósł twój urok jak spojrzenie damy,
która wdziękami ukrytymi wabiąc,
spogląda na nas z pozłacanej ramy.

Rynku czarowny w kamieniczek wieńcu,
ilekroć bruk twój w pośpiechu przemierzam,
tyle mi razy pieśń o twym poczęciu
wydzwania zegar z ratuszowej wieży.

I tyle razy myśl, jak strzała z łuku,
powraca do tej prawdy ostatecznej,
że życie mija jak mój krok po bruku,
gdy w kamieniczkach twych piękno trwa wiecznie.

(Z tomu „Mowa ludzka”)



Neptun na jeleniogórskim rynku

Edward Kozikowski (1891-1980), poeta, prozaik, publicysta. Studiował na Uniwersytecie Warszawskim. Debiutował jako poeta w 1913 r. na łamach „Kuriera Warszawskiego”. Współzałożyciel, wraz z E. Żegadłowiczem, grupy poetyckiej Czartak. Sekretarz Warszawskiego Oddziału Związku Zawodowego Literatów Polskich (1920-35), sekretarz generalny Zarządu Głównego ZZLP (1935-39). W czasie okupacji działacz podziemia kulturalnego. Mieszkając w Jeleniej Górze, był prezesem Dolnośląskiego Oddziału ZZLP (1946-51), kierownikiem literackim Teatru Dolnośląskiego (Teatru im. C.K. Norwida) (1945-46 i 1949-51), redaktorem literackim miesięcznika „Śląsk” (1946-47). Od 1952 w Warszawie. Ogłosił zbiory wierszy: „Płomyk świecy” (1920), „W towarzystwie wierzby” (1929), „Pięciokłós” (1937), „Mowa ludzka” (1967), „Wertepami i gościńcem” (1967), dwa ostatnie z wierszami o Jeleniej Górze i okolicy. Wydał opowiadania i wspomnienia o pisarzach.

W roku 1982 w Jeleniej Górze odsłonięto tablicę pamiątkową ku czci poety.

Wybrał: Janusz Fuksa

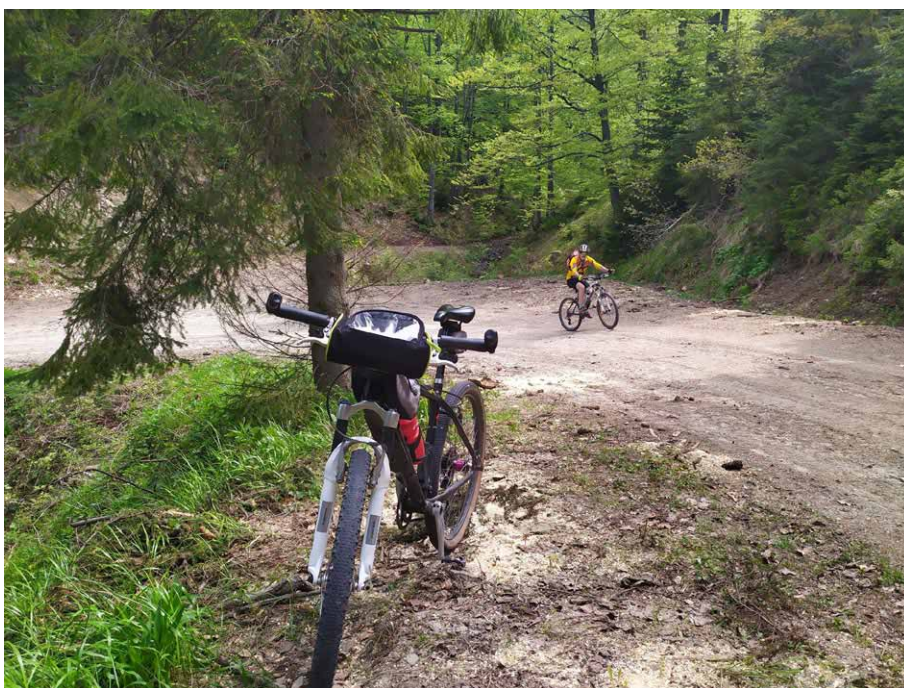
Na rowerze nad Jaworkami. Część 2. Na Prehybę

Bawiąc w Jaworkach, nie wypada nie odwiedzić schroniska na Prehybie w Beskidzie Sądeckim. Dlaczego dodałem informację, że to schronisko jest w Beskidzie Sądeckim? Bo wcale nie jest powiedziane, że każdy Czytelnik zna tę lokalizację, tak samo, jak ja nie znam wielu obiektów choćby w szeroko pojętych Sudetach. Będąc na trawersie Wielkiego Rogacza w tymże Beskidzie, spotkaliśmy grupkę sympatycznych wycieczkowiczów, z którymi dotarliśmy na Przełęcz Żłobki. W rozmowie wyszło, że poprzedniego dnia jeździliśmy wokół Jeziora Czorsztyńskiego i lekko się zdziwiłem, gdy rozmówczyni spytała: to tu jest jakieś jezioro? Wydawałoby się, że co jak co, ale to jezioro to nie jest byle jaka sadzawka i powinno być obecne w powszechnej świadomości. No, ale widocznie nie jest.

Jako się rzekło, (część 1) jednym z celów podczas naszej rowerowej wyprawy była Prehyba. Plan był taki. Dojazd do Szczawnicy, przejazd obok wodospadu Zaskalnik i karczmy Czarda – „masło maślane”, wszak czarda to po prostu karczma, podjazd stokówką (szlak rowerowy jest na mapie) do schroniska, posiłek i odpoczynek, zjazd do stokówki, powrót do Jaworek drogą w dolinie z widokiem na Wysoką. Trasa dość długa i wyęzająca, a pogoda zapowiadała się nieco niepewna, przynajmniej takie były prognozy, więc należało wyjechać możliwie wcześnie. Okazało się jednak, że prognoza to były „strachy na Lachy” i nie było żadnych pogodowych niedogodności. Na początku szybki dojazd (ok. 6 km) do Szczawnicy i wjazd przez most na Grajcarcu na ulicę Sopotnicką, która prowadzi do Czardy, a dalej zmienia się w leśną drogę gospodarczą. Od chwili zjazdu do Szczawnicy już cały czas pod górę. Przy wodospadzie Zaskalnik zarządziłem postój. Przy wodospadzie znajduje się ładnie zagospodarowane miejsce odpoczynkowe. Warto zatrzymać się i zejść do stóp wodospadu stromą skalistą ścieżką. Jest mocno wyslizgana, ale można przytrzymać się korzeni.



Wodospad Zaskalnik



Szlak na Prehybę, na zakręcie 1000 m n.p.m.

Jedziemy dalej, mijamy Czar-
dę, a po chwili odejście w pra-
wo niebieskiego szlaku na Prehy-
bę i leśniczówkę Kunie. W lewo
odchodzi gminny szlak wiodący do
schroniska na Bereśniku. Droga wie-
dzie na północ, wkrótce mijamy ka-
plicę na Sewerynowce. Kolejne roz-
staje. W prawo odchodzi droga stano-
wiająca alternatywne dojście – dojazd
na Prehybę. Droga ta doprowadza do
wspomnianego szlaku niebieskiego.
Jest krótsza i bardziej stroma. Mija-
my kaplicę, jedziemy na północ lek-
ko zacienioną drogą w dolinie. Na-
wierzchnia szutrowa, dość twarda
i równa, ale na bardziej stromych
odcinkach spotykamy bruk. Stanowi



Stromo i kamieniście – nie da się jechać

wzmocnienie zapobiegające wypłu-
kiwaniu nawierzchni przy dużych
opadach. Te brukowane fragmenty są mocno uciążliwe, nie dość że pod górę, to jeszcze bruk utrudnia jazdę.
Trzeba się trochę napocić. Jedziemy powoli, zatrzymując się co kilkaset metrów dla złapania oddechu i odpo-
czynku napiętych mięśni. Te krótkie minutowe przerwy pozwalają możliwie sprawnie zdobywać wysokość.
Wydaje się, że stromizny nie widać, ale wysokościomierz wciąż pokazuje coraz to większe wartości. Warto co
jakiś czas spojrzeć za siebie – wtedy widać, że jednak jedziemy pod górę. W jakimś momencie osiągamy wy-
sokość 1000 m n.p.m. Oznacza to, że pokonaliśmy ok. 550 m przewyższenia od mostu na Grajcarcu. Czas na
dłuższą przerwę. Uzupełniamy płyny, przegryzając batonami energetycznym. Pijemy dużo, bo słońce jednak
operuje z całą mocą. Droga miejscami jest całkowicie odkryta, wtedy słońce szczególnie daje się we znaki. Je-
dziemy dalej, spotykamy ostry zakos w prawo, niespodziewanie następuje dość długi szybki zjazd po prostej,
ale to zmyłka, za chwilę kolejny zakos „w tył na lewo”, jak słyszałem w wojsku na musztrze. Niestety straconą
wysokość trzeba mozolnie odrabiać. Spotykamy niebieski szlak pieszy, który jednak odchodzi lekko w pra-
wo, nasza droga ostro idzie pod górę, staje się kamienista, luźne kamienie na tej stromiźnie uniemożliwiają
jazdę, trzeba zejść z rowerów i prowadzić. Wydostajemy się na grzbiet i jedziemy dalej przyjemną widokową
grzbietową ścieżką. Do schroniska na Prehybie już niedaleko, widać maszt telewizyjno-telekomunikacyjny,
wkrótce przejeżdżamy obok niego i zjeżdżamy pod schronisko. Parkuje-
my przy płotku przed schroniskiem, idziemy na posiłek i odpoczynek na tarasie z widokiem na Tatry. Warto
było zdobyć się na ten wysiłek, by przejechać tym kilkunastokilometrowym szlakiem, posmakować praw-
dziwej górskiej turystyki rowerowej. Od kwatery w Jaworkach przejechaliśmy ok. 25 km, suma podjazdów
to ok. 1150 m, suma zjazdów ok. 580 m, zaś przewyższenie netto od centrum Jaworek (566 m n.p.m.) do
węzła szlaków na Prehybie (1147 m n.p.m.) to 581 m. Było co robić.

W schronisku pusto, spotyka-
my dwie osoby, później pojawia
się jeszcze jedna piesza turystka
i dwie osoby z rowerami, frekwencje



Przed schroniskiem na Prehybie

uzupełniają dwaj kolejni turyści „na butach”. To wszystko turyści przechodni, ale to środek dnia, pewnie wieczorem ktoś pojawi się na nocleg. Na tarasie schroniska spędziliśmy niemal godzinę, przed nami powrót do Jaworek. Uzupełniamy bidony i ruszamy krótkim odcinkiem szlaku czerwonego do rozstaju pod wierzchołkiem Wielkiej Przehyby. Tam skręcamy w prawo na ścieżkę wiodącą bocznym grzbietem w kierunku Szlachtowej przez Pieniężną i Kiczorę. Jest to znany wielu turystom szlak narciarski wykorzystywany także na wycieczkach pieszych. Tym szlakiem obfitującym w strome zjazdy i lekkie podjazdy wytracamy wysokość do spotkania drogi stokowej. Zatrzymujemy się na chwilę, bo palce zaciskane na klamkach hamulców zaczynają mocno boleć. Skręcamy na lewo na stokówkę. Czekamy nagroda za trud wspinania się na Prehybę i męczący zjazd ścieżką grzbietową. Przed nami wspaniały zjazd, najpierw stokówką do drogi w dolinie, później tą drogą, łącznie 8 km do szosy w Jaworkach. Byle tylko wytrzymały klocki i linki hamulców. Ruszamy i za chwilę osiągamy sporą prędkość na niezłej szutrowej nawierzchni. Oczywiście trzeba uważać na odcinki z luźnymi kamieniami i kontrolować prędkość. Na prostych osiągamy ok. 45 – 50 km/godz., przy tej prędkości trafienie w jakąś dziurę mogłoby mieć

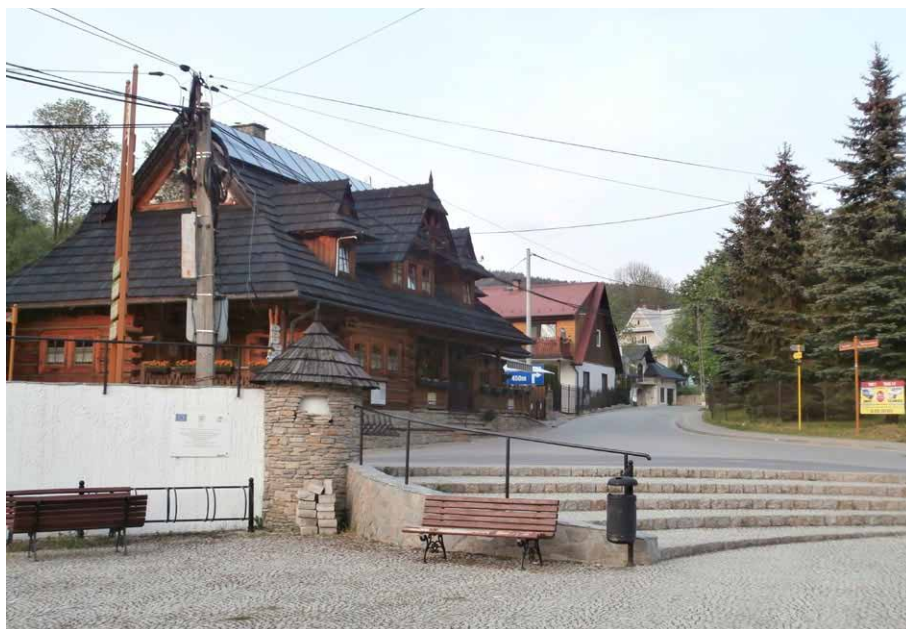
mało przyjemne skutki. Nieliczne ubytki w nawierzchni omijamy sprawnie i bardzo szybko dojeżdżamy do Jaworek. Wjeżdżamy na szosę, następuje lekki podjazd, mijamy odejście drogi na Durbaszkę, duży parking z gastronomią i straganami, chwilę potem wejście do Wąwozu Homole i zjeżdżamy do centrum wsi z „placem centralnym” i karczmą, czyli restauracją Bacówka. Jeszcze tylko przejazd przez most i podjazd do naszej kwatery na Czarnej Wodzie. Te ostatnie metry okazały się mozolne, noga „nie chciała podawać”, ale jakoś się doturlaliśmy.

Tak oto zrealizowaliśmy drugi z celów przyjazdu do Jaworek. Warto było się pomęczyć, by odwiedzić nasze ulubione schronisko, a potem zakosztować szybkiego zjazdu. W Beskidzie Sądeckim jest sporo dogodnych dróg dla klasycznego rowerowego turysty górskiego. Kolejne sprawdziliśmy w następnych dniach pobytu.

W nawiązaniu do części pierwszej „Na rowerze nad Jaworkami”: okazało się, że redaktor naczelny NS w ubiegłym roku także objechał rowerem Jezioro Czorsztyńskie, ale zapomniał się tym pochwalić. Być może jego wspomnienia z przejazdu były mniej entuzjastyczne z powodu konfliktu na styku jego organizmu z wąskim siodełkiem, o czym wspomniał mi w korespondencji.

Juliusz Wystouch

Zdjęcia: Andrzej i Juliusz Wystouch



Centrum Jaworek



Serwis czuwa – wymiana kół na „szosowe”

Jaka będzie Bydgoszcz w 2029 roku? Wyzwanie Europejskiej Stolicy Kultury

Z kulturą w przyszłość! Okazją do tego jest konkurs o tytuł Europejskiej Stolicy Kultury 2029. Bydgoszcz jest kandydatką, a my zadajemy mieszkańcom i mieszkańcom bardzo ważne pytanie: Jaka będzie Bydgoszcz w 2029 roku? Jaka jest rola kultury w rozwoju miasta? Odpowiedzi będziemy szukać, zapraszając do różnorodnych angażujących działań. Od kilku dni w Młynach Rothera można zobaczyć intrygującą instalację - zaproszenie do włączenia się w tworzenie aplikacji do tytułu ESK 2029.

Europejska Stolica Kultury (ESK) to inicjatywa, która ma na celu promowanie różnorodności kulturowej w Europie oraz zwiększenie świadomości i znaczenia kultury w społeczeństwie. Miasto, które otrzymuje tytuł Europejskiej Stolicy Kultury, nie tylko promuje swoją ofertę kulturalną i organizuje różnorodne wydarzenia, ale dostaje szansę na dodatkowy rozwój infrastruktury kulturalnej, turystycznej i społecznej. Bydgoszcz jest kandydatką do tytułu Europejskiej Stolicy Kultury 2029. Ponieważ częścią wniosku konkursowego jest program działania na rok 2029 i lata następne, to dobra okazja, żeby zadać sobie oraz mieszkańcom i mieszkańcom Bydgoszczy pytanie: Jaka będzie Bydgoszcz 2029 roku?

– *Tytuł Europejskiej Stolicy Kultury nie jest przyznawany za to, jakim miasto jest teraz, ale za to, jakim miastem chce się stać. O czym marzy, do czego dąży, na czym mu zależy. Dlatego zapraszamy do rozmowy o potrzebach, wyzwaniach i marzeniach* – mówi Sławomir Czarnecki, koordynator procesu przygotowania wniosku aplikacyjnego, dyrektor Młynów Rothera.

Udział w konkursie o tytuł Europejskiej Stolicy Kultury to znakomita okazja do zaprezentowania potencjału kulturowego miasta zbudowanego wokół wody, lokalnej tożsamości i otwartości. Prace nad wnioskiem koordynuje zespół Centrum Nauki i Kultury Młyny Rothera. Działania w toku! Od kilku dni w Młynach można zobaczyć instalację -zaproszenie do włączenia się w tworzenie wniosku konkursowego. W strefie wejścia od ul. Mennicy można podziwiać meblościankę pełną sentymentalnych przedmiotów budzących wspomnienia z minionych lat.

– *Instalacja nawiązuje do bliskiej nam idei zbliżenia kultury do codzienności. Interesuje nas kultura dostępna, wchodząca w dialog z miejscem, w którym powstaje, budująca relacje* – dodaje Sławomir Czarnecki.

Jednak to nie wszystko, co wydarzy się w najbliższych miesiącach! W planach są rozmowy z mieszkańcami i mieszkańcami, które będą się odbywały w różnych formach. Miasto zaprosi do Młynów między innymi na otwarte spotkanie w formule otwartej przestrzeni (openspace), której celem będzie poruszenie kwestii istotnych dla różnorodnych środowisk lokalnych. Jeszcze w sierpniu rozpocznie się cykl spotkań „Kultura wobec...”, podczas których będą się toczyć otwarte rozmowy o kulturze dla wszystkich tych, którzy chcą mieć realny wpływ na zmiany w mieście i zmiany miasta. Już wkrótce pojawią się również zapowiedzi kolejnych działań, warto odwiedzać stronę: <https://bydgoszcz2029.com/>. W planach są m.in. spotkania w Nowym Miejscu w Młynach, czyli międzypokoleniowej i międzykulturowej kawiarni otwartej na działania twórcze, rozmowy i opowieści, która zamieni się w obywatelską kawiarnię ESK. Rozpoczął się także cykl Kawa z Koordynatorem, w ramach którego w wybrane dni zapraszamy mieszkańki i mieszkańców Bydgoszczy do odwiedzenia Nowego Miejsca i podjęcia rozmowy z koordynatorem przygotowania aplikacji, Sławomirem Czarneckim. Przy kawie od zapatystów, jednej ze specjalności Nowego Miejsca, będzie można porozmawiać o pomysłach na zwiększenie roli kultury w rozwoju miasta.



Jaka będzie Bydgoszcz w 2029 roku. Fot. P. Nalewajk

Oprócz Bydgoszczy złożenie aplikacji w konkursie na Europejską Stolicę Kultury 2029 zapowiedziały już takie miasta jak Katowice, Lublin, Rzeszów, Toruń, Bielsko-Biała czy Kielce. Deklaracje przystąpienia miasta składają do 14 sierpnia, a wniosek aplikacyjny do 15 września 2023 r. Wszystkich, którzy chcą wspierać starania Bydgoszczy o tytuł ESK, zapraszamy do kontaktu: esk@mlynrothera.pl

Anna Czarnecka

„Ogień” na monecie

Narodowy Bank Polski emituje znaki pieniężne, w tym monety i banknoty kolekcjonerskie. Emisja wartości kolekcjonerskich stanowi okazję do upamiętnienia ważnych rocznic historycznych i postaci oraz rozwijania zainteresowań kulturą, nauką i tradycją polską.

W ramach serii „Wyklęci przez komunistów żołnierze niezłomni” bank upamiętnia tych, którzy z odwagą, męstwem i poświęceniem przeciwstawili się sowieckiemu terrorowi, poległi, walcząc w powojennym podziemiu niepodległościowym, antysowieckim i antykomunistycznym. Emisja monet jest wyrazem szacunku oraz uznania dla walczących o niepodległą Rzeczpospolitą w ciężkich powojennych czasach, którzy z próby wyszli zwycięsko - „zachowali się jak trzeba”.

Narodowy Bank Polski zaplanował emisję dwudziestu trzech monet z tej serii: pierwsza inauguruje cykl upamiętnia wszystkich żołnierzy podziemia niepodległościowego, a następne poświęcone są postaciom żołnierzy niezłomnych. Na każdej monecie znajduje się: nominał, napis Rzeczpospolita Polska, rok emisji, wizerunek orła ustalony dla godła państwowego.

Bank 15 marca 2023 roku wprowadził do obiegu srebrną monetę o nominale 10 zł upamiętniającą postać Józefa Kurasia ps. „Ogień”. Na rewersie jest jego wizerunek, wstęga o barwach narodowych z symbolem Polski Walczącej z napisem „Zachowali się jak trzeba” oraz rok urodzenia i śmierci „Ognia”: 1915-1947. Na awersie przedstawiono rozerwane kraty więzienne.

Jest to piętnasta moneta w tej serii, a jej dane techniczne są następujące: metal Ag 925/1000, stempel lustrzany, tampondruk, średnica 32,00 mm, masa 14,14 g, rant gładki, nakład do 10 000 sztuk. Projektantem monety jest Dobrochna Surajewska. Na zlecenie Narodowego Banku Polskiego monety wyprodukowała Mennica Polska SA.

Nie trudno było przewidzieć, że decyzja o umieszczeniu Józefa Kurasia na kolekcjonerskiej monecie spotka się ze skrajnymi emocjami i ocenami. Ktokolwiek miał możliwość zetknąć się z tematyką Podhala, wie, jaką kontrowersyjną był postacią, mającą tylu zwolenników, co przeciwników, jego biografowie używają analogicznie podobnej ilości pytańników co wykrzykników.

Był żołnierzem Wojska Polskiego i Armii Krajowej, oficerem Batalionów Chłopskich i Urzędu Bezpieczeństwa, partyzantem na Podhalu w czasie II wojny światowej, a pod koniec swojego życia jednym z dowódców oddziałów podziemia niepodległościowego i antykomunistycznego oskarżany o zbrodnie na ludności cywilnej.

Józef Kuraś urodził się 23 października 1915 roku w Waksmundzie w pobliżu Nowego Targu. W 1934 został członkiem Stronnictwa Ludowego. Powołany do wojska w 1936 roku służył w Sanoku i Słobódce na Ziemi Wileńskiej. W czasie kampanii wrześniowej 1939 r. walczył w szeregach 1 Pułku Strzelców Podhalańskich. Po nieudanej



próbie przedostania się do Francji wrócił na Podhale. Od razu w listopadzie 1939 r. zaangażował się w działalność konspiracyjną, najpierw w Konfederacji Tatrzańskiej, później Armii Krajowej, z czasem został dowódcą w strukturach Ludowej Straży Bezpieczeństwa oraz oddziału egzekucyjnego Powiatowej Delegatury Rządu RP w Nowym Targu.

W czerwcu 1943 r. po tragicznym wydarzeniu narodził się „Ogień”, otóż w odwecie za egzekucję przez oddział Kurasia na dwóch policjantach będących agentami Gestapo, Niemcy zamordowali jego żonę, dwuipółletniego syna i ojca. Rodzinny dom z ciałami zamordowanych spalono. Wtedy przyjął pseudonim „Ogień”, wcześniej znany był jako „Orzeł”.

W jego życiorysie nazbyt wiele jest wątków wątpliwych i problematycznych, choćby nie jest jasna sprawa stopnia wojskowego. W Wojsku Polskim był kapralem, podobnie w Konfederacji Tatrzańskiej i Armii Krajowej, według niektórych źródeł miał otrzymać awans na plutonowego. W Batalionach Chłopskich otrzymał stopień porucznika utrzymany w Milicji Obywatelskiej i Urzędzie Bezpieczeństwa Publicznego (wg innych źródeł otrzymał go dopiero w UBP). Po dezercji z organów bezpieczeństwa i w odtworzonym oddziale partyzanckim ogłosił się majorem, wykorzystując do tego dokumenty podpisane in blanco przez mjr. Adama Stabrawę ps. „Borowy”, inspektora AK Nowy Sącz i dowódcę 1 psp AK, ponoć skradzione. W rzeczywistości „Ogień” nie mógł otrzymać stopnia oficerskiego z rozkazu Armii Krajowej, ponieważ ciążył na nim wyrok śmierci za dezercję, nadto nie posiadał zdanej matury gwarantującej w AK otrzymanie rangi oficerskiej. Pośmiertnie został generałem brygady, a następnie generałem dywizji. Tak to prawda, Juliusz Nowina-Sokolnicki, samozwańczy prezydent Wolnej Polski na Wychodźstwie 11 listopada 1989 mianował Kurasia pośmiertnie generałem. W 2017 minister obrony narodowej Antoni Macierewicz w wydanym postanowieniu uznał jego stopień majora.

Działania „Ognia” podczas okupacji nie do końca zostały wyjaśnione. Faktem jest, iż nie podporządkował się żadnemu z liczących się ówczesnie politycznych bądź militarnych ośrodków konspiracyjnych i działał na własną rękę. Podobnie było po zakończeniu wojny.

Po zajęciu Nowego Targu przez Armię Czerwoną podporządkował się radzieckiej komendanturze miasta i z jej ramienia otrzymał zadanie organizacji Milicji Obywatelskiej. Po kilku tygodniach decyzje władz sowieckich zostały zmienione przez ekipę przybyłą na Podhale z ramienia PKWN. Kuraś oraz część jego ludzi zostali zwolnieni z milicji. Na początku lutego 1945 r. zdecydował się interweniować i pojechał do siedziby PKWN w Lublinie, a następnie do Warszawy, gdzie odbył rozmowy z przedstawicielami PPR. Po rozmowie w Wydziale Personalnym KC PPR, od kierującej wydziałem Zofii Gomułkowej, otrzymał 10 marca 1945 r. nominację na szefa Powiatowego Urzędu Bezpieczeństwa Publicznego w Nowym Targu. Nominacja ta nastąpiła wbrew opinii miejscowych władz MO i PPR. Pod wpływem doniesień wojewódzki UBP w Krakowie wszczął formalne śledztwo przeciwko Kurasiowi. Z dziwnymi decyzjami i tu mamy do czynienia, bowiem 21 marca zatwierdzono Kurasia na stanowisko szefa powiatowego UBP, ale bez odwołania dotąd urzędującego Stanisława Strzałki. Jak było to możliwe? Ostatecznie Kuraś został wezwany do krakowskiego UBP, jednak w drodze został ostrzeżony o nakazie jego aresztowania. Jest i inna wersja, ponoć otworzył wiezione przez siebie dokumenty do urzędu, wśród których miał znajdować się nakaz jego aresztowania.

Wówczas podjął decyzję o powrocie do konspiracji, oficjalnie 12 kwietnia 1945 r. zdezerterował z dużą częścią podkomendnych i utworzył zgrupowanie partyzanckie „Błyskawica”. Następnego dnia, 13 kwietnia zwołał odprawę swoich byłych podwładnych, zapowiadając walkę przeciw ZSRR i komunistom w kraju. Od tam toczył ją na Podhalu aż do 1947 roku. Na swoim terenie stanowił realną władzę wojskową i polityczną. Zgrupowanie „Błyskawica” miało bardzo dobrze działający wywiad i cieszyło się poparciem społeczeństwa. Na przełomie roku 1945/1946 Zgrupowanie „Błyskawica” liczyło około 500 zbrojnych i kilkakrotnie więcej osób w siatce cywilnej.

W odezwach Kuraś ostrzegał wszystkich konfidentów i pełniących w Urzędach Bezpieczeństwa kierownicze stanowiska, że będą na każdym kroku wieszani i rozstrzeliwani, nie patrząc na ich pochodzenie, a ich dobytek zostanie skonfiskowany na rzecz oddziałów partyzanckich. Z tego powodu działalność wymierzona była w osoby narodowości polskiej jak i pochodzenia żydowskiego, niemieckiego i słowackiego.

W latach 1945–1947 w walce ze zgrupowaniem „Błyskawica” zginęło ponad 60 funkcjonariuszy UB, 27 NKWD, ponad 40 milicjantów. 18 sierpnia 1946 r. Józef Kuraś zorganizował i przeprowadził jedną z najbardziej spektakularnych akcji rozbicia i opanowania więzienia św. Michała w Krakowie, uwolnił kilkudziesięciu więźniów – żołnierzy AK, WiN i NSZ. W budynkach mieszczących dziś Muzeum Archeologiczne od czasów zaborów znajdowało się więzienie potocznie nazywane więzieniem św. Michała. Po 1945 r. gmach

przejęło Ministerstwo Bezpieczeństwa Publicznego, a cele obok przestępców pospolitych i folksdojczów spełniali żołnierze i działacze podziemia. Sukces akcji był możliwy dzięki udziałowi partyzantów, wtajemniczonych więźniów oraz współpracujących z nimi strażników więziennych. Partyzantami byli żołnierze 6. krakowskiej kompanii Zgrupowania „Błyskawica” na czele z Janem Januszem „Siekierą” i Zdzisławem Lisikiem „Mścicielem”. Najważniejszą postacią spośród zakonspirowanych więźniów był Bolesław Pronobis „Ikar”, niegdyś żołnierz AK, później dowódca oddziału NSZ. Współpracującymi strażnikami byli Irena Odrzywołek i Stanisław Krejca.

Wydarzenie to upamiętniono specjalną tablicą wmurowaną w mur ogrodu Muzeum Archeologicznego w Krakowie, od strony ul. Poselskiej.

Jesienią 1946 r. oddziały UB i grupa operacyjna Korpusu Bezpieczeństwa Wewnętrznego rozpoczęły ofensywę przeciwko Zgrupowaniu „Błyskawica”. 21 lutego 1947 r. „Ogień” wraz z towarzyszącymi mu partyzantami został otoczony w Ostrowsku koło Nowego Targu. Po walce i próbie wydostania się z okrażeń usiłował popełnić samobójstwo na strychu jednej z chałup. Ranny zmarł tuż po północy 22 lutego 1947 w szpitalu w Nowym Targu. Do dziś nie jest znane miejsce jego pochówku.

Postać Józefa Kurasia i działalność jego oddziału wciąż budzi kontrowersje. Według organizacji żydowskich działających w Polsce oddział „Ognia”, oprócz ataków na urzędy UB i posterunki MO, mordował Żydów ocalałych z Holocaustu i dokonywał rozbojów, m.in. członkowie jego oddziału zamordowali 28 lutego 1946 roku Józefa Oppenheima, przedwojennego, wieloletniego naczelnika Tatrzańskiego Ochotniczego Pogotowia Ratunkowego. Prokuratura po dochodzeniach i aresztowaniu sprawców wykluczyła jednak tezę o mordzie politycznym i stwierdziła, że zbrodnia miała charakter rabunkowy.

Towarzystwo Słowaków w Polsce domaga się przeprowadzenia śledztwa w sprawie akcji przeciwko ludności słowackiej dokonywanych przez Józefa Kurasia i podległe mu oddziały na Spiszu, dla przykładu w Nowej Białej znajduje się tablica pamiątkowa upamiętniająca morderstwo czterech mieszkańców wsi. Umieszczony napis głosi: *Słowakom zamordowanym przez bandę „Ognia” 16 kwietnia 1946 r. / Slovákom zavražděným bandou „Ognia” 16 apríla 1946.*

W marcu 2023 r. w liście podpisanym przez ponad 40 sygnatariuszy - organizacje żydowskie, naukowców, historyków, publicystów i działaczy społecznych - czytamy m.in.: *jako historycy, jako reprezentanci środowisk żydowskich i organizacji społecznych działających na rzecz tolerancji i wzajemnego szacunku oraz Żydzi – kombatancki, nie możemy milczeć, gdy Narodowy Bank Polski wybija i promuje monetę ku czci Józefa Kurasia. Postaci, której działalność – nawet biorąc pod uwagę wyjątkowy kontekst historyczny – dalece odbiega od wizerunku bohatera zasługującego na szczególną cześć i narodową pamięć. Szczególnie, gdy weźmie się pod uwagę, że dzieje się to na miesiąc przed oficjalnymi, państwowymi obchodami 80. rocznicy wybuchu powstania w getcie warszawskim.*

Sygnatariusze listu otwartego wyrazili swój sprzeciw wobec upamiętniania Józefa Kurasia srebrną monetą Narodowego Banku Polskiego, napisali: *Pod pojęciem „Żołnierzy Niezłomnych” kryje się zarówno działalność tych, którzy nie godząc się na dyktat Związku Sowieckiego nie rzucili broni i walczyli dalej z przedstawicielami komunistycznej władzy, jak i osób, które w imię nacjonalistycznych haseł mordowały przedstawiciele wszelkich mniejszości narodowych żyjących od wieków w Polsce. Mają oni na sumieniu śmierć niewinnych cywili. Mieszanie tych postaw i postaci jest fałszowaniem historii oraz manipulowaniem zbiorową pamięcią.*

Uznali, że tysiące Polaków w czasie wojny i po niej „zachowało się jak trzeba”, ale nie należy do nich Józef Kuraś, zapisując się po niewłaściwej stronie historii.

Moneta kolekcjonerska z Józefem Kurasiem jest piętnastą w kolekcji, wcześniej na wprowadzonych do obiegu upamiętnieni zostali: Danuta Siedzikówna „Inka”, Witold Pilecki „Witold”, Feliks Selmanowicz „Zagończyk”, Henryk Glapiński „Klinga”, August Emil Fieldorf „Nil”, Hieronim Dekutowski „Zapora”, Stanisław Kasznica „Wasowski”, Łukasz Ciepliński „Pług”, Mieczysław Dziemieszkiewicz „Rój”, Kazimierz Kamiński „Huzar”, Zdzisław Broński „Uskok”, Antoni Żubryd „Zuch”, zaraz po Kurasiu upamiętniony został Stanisław Sojczyński „Warszyc”. Pierwsza moneta w serii „Żołnierze Niezłomni” upamiętnia wszystkich żołnierzy podziemia niepodległościowego, a z kolei dziesiąta 75. rocznicę powołania Zrzeszenia „Wolność i Niepodległość”. Nie wiem, czy któraś z upamiętnionych postaci wzbudziła tyle kontrowersji co Józef Kuraś.

Od zakończenia wojny minęły kolejne pokolenia, a zhora wokół „Ognia” trwa nadal. Może dlatego, że wiele wątków z jego życia nie zostało wyjaśnionych, nie przeprowadzono rzetelnego rozliczenia i pewnie się go nie doczekamy. Józef Kuraś nie jest pierwszą ani ostatnią tragiczną postacią w historii, gdy po II Rzeczypospolitej należało zmierzyć się z nową komunistyczną rzeczywistością.

Ryszard M. Remiszewski

CYTAT MIESIĄCA

„Maluchem” na Grossglockner

Tego jeszcze nie było i nie będzie. Absolutny rekord świata, wyczyn nie do podrobienia! Podczas charytatywnej wyprawy do Monte Carlo 35 samochodów marki Polski Fiat 126p wjechało na najwyższy szczyt Austrii Grossglockner. To nie prima aprilis, ta wiadomość obiegła kulę ziemską 10 lipca tego roku. A oto oryginalna informacja z jednego z czołowych internetowych portali info.

Maluszki wdrapały się m.in. na Gross Glockner.

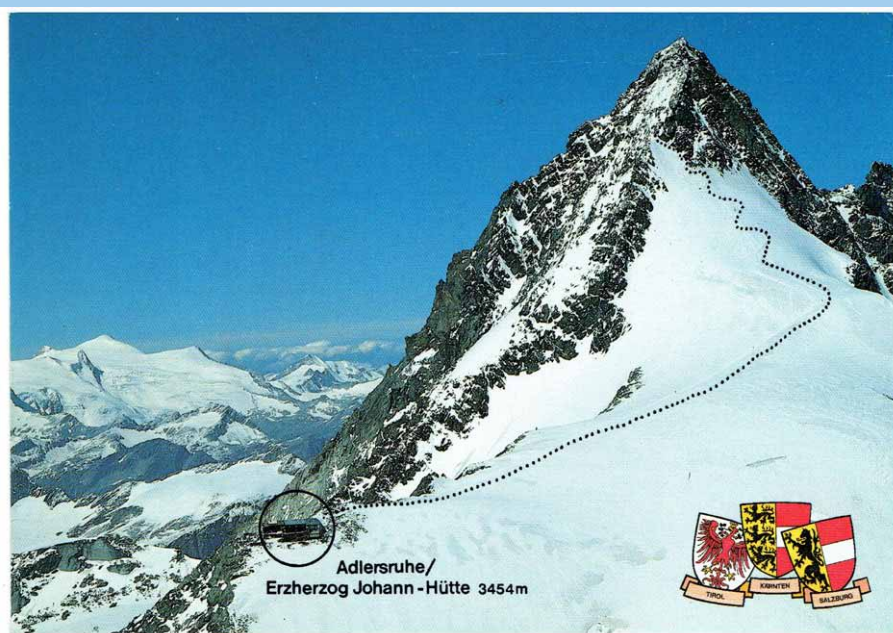
Dziennie pojazdy pokonywały pomiędzy 380 a 600 kilometrów, a cała wyprawa liczyła blisko 2500 kilometrów. Wśród odwiedzonych państw znalazły się m.in. Czechy, Austria, Włochy oraz Francja. Maluszki wspięły się także na słynny szczyt Gross Glockner, którego kręta trasa wiedzie na wysokość 3768 metrów.

Nie wiem, co leży na wysokości 3768 m n.p.m. i dlaczego autor powyższej „informacji” podał taką wysokość, na pewno nie jest to szczyt „Glocka”, bo jego wysokość to 3798 m n.p.m. Może chodziło o punkt na grani położony dwa metry niżej od przed-wierzchołka, bowiem Kleinglockner mierzy 3770 m n.p.m., tak czy inaczej autor nieźle „popłynął”, żadnej szosy tam nie widziałem ani prostej, ani krętej. Rzecz w tym, że najwyższy punkt na Grossglockner Hochalpenstrasse to Hochtort (2503 m n.p.m.) – najwyższy punkt na trasie, gdzie przebiega granica między Salzburgiem a Karyntią. To słynny punkt widokowy na „Glocka” i lodowiec Pasterze. Pewnie tam wjechała kawalkada „maluszków”. I pomyśleć, że wystarczy wsiąść do „malucha”, a ja głupi na piechotę przez lodowiec jeden, drugi, po jakiejś grani jednej, drugiej, przez dwa dni, nad przepaścią, eee tam.... Frajer.

Juliusz Wystouch



W drodze pod szczyt i szczyt z przed-wierzchołka 3770 m n.p.m.



Szlak od schroniska na szczyt

„Miej serce i patrzaj w serce”

Ten cytat z Mickiewicza to hasło wywoławcze, ale treść artykułu nie będzie miała nic wspólnego z romantyzmem, niestety. No chyba, że, wędrując po górach, doznajemy romantycznych uniesień, wszak Mickiewicza sportretował Walenty Wańkowicz właśnie na skale Judahu (Ajudahu), a i Goethe od gór nie stronił, podróżował po górach Dolnego Śląska, a scenę *Noc Walpurgii* w *Fauście* umieścił w Górach Harz. To tyle romantyczności, zejdźmy na ziemię. Chodzi o coraz częstsze przypadki zapaść i zawałów serca podczas pobytu w górach, tych niewysokich i tych wyższych. Prawie nie ma tygodnia, żeby nie doszło do jakiegoś „incydentu krążeniowo-oddechowego”, jak mawiają medycy. Owe incydenty przynoszą ofiary śmiertelne, nie zawsze ratunek zdąży na czas, nie zawsze trafią się turyści - świadkowie zdarzenia, którzy podejmą czynności ratunkowe. Wiele tych przypadków kończy się szczęśliwie właśnie dzięki natychmiastowym działaniom podjętym przez innych turystów przed przybyciem ratowników GOPR lub TOPR z odpowiednim sprzętem. Potem przeważnie do akcji wkracza LPR lub śmigłowiec TOPR, odwożąc chorego do szpitala. Podczas lotu ratownicy starają się podtrzymać czynności życiowe poszkodowanego, ale nie zawsze to się udaje. Takie są realia. Ratownicy wciąż apelują do turystów i innych osób wybierających się w góry – bądźcie świadomi stanu swojego zdrowia, swojej kondycji, swoich możliwości fizycznych. Zatem hasło „miej serce i patrzaj w serce” (swoje) jest jak najbardziej na miejscu. Spróbuję rozwinąć jego sens w odniesieniu do tego, co nas interesuje, do turystyki, szczególnie górskiej. Oprę to na własnych doświadczeniach.

Jakiś czas temu, sporo przed 60-tką pojawiały się u mnie „tępe” krótkotrwałe bóle w klatce piersiowej. To był sygnał, że coś jest nie w porządku. Wystarczyło jednak wziąć kilka głębokich oddechów, zatrzymać się i przechodziło. Pamiętam jak dziś taką chwilę podczas podejścia na Śnieżnik, już powyżej schroniska. Chyba nic poważnego, przecież na szlaku z Międzygórza wszystko było w porządku, nie męczyłem się, nie miałem zadyszki, nic mnie nie bolało. To był jeden z pierwszych takich sygnałów. Nie było ich później wiele, ale zdarzały się raz na tydzień, na dwa, trzy tygodnie... Cały czas byłem w ruchu, codziennie rowerem po mieście, raz w tygodniu dłuższe jazdy 50 – 80 km, wydawało się, że nic złego się nie dzieje. A jednak się działo. Ledwo tydzień po ostatniej 80 km rowerowej wycieczce dopadł mnie zawał. Cholesterol robił swoje mimo aktywnego trybu życia. W moim przypadku decydowały geny, dziedziczne obciążenie hipercholesterolemią rodzinną. To samo spotkało mojego brata dbającego o odpowiednią dietę, regularnie „od zawsze” biegającego długie dystanse, półmaratony i maratony, uczestnika rowerowych maratonów jeżdżącego na rowerze niemal codziennie min. 50 - 100 km. Zatem nie tylko nieodpowiednia dieta, tłuszcz, niedobór warzyw i owoców, otyłość, siedzący tryb życia, itp. czynniki mogą spowodować ów incydent krążeniowo-oddechowy. Trzeba o tym pamiętać, zwłaszcza jeśli po dłuższym okresie mniejszej aktywności fizycznej wybieramy się w góry. Wtedy dochodzą dodatkowe czynniki obciążające serce: wysiłek, wysoka temperatura, zmiany ciśnienia powietrza, nieodpowiedni ubiór, bezpośrednie działanie słońca na nieosłoniętą głowę, itp. Nierzadko widuję ludzi w górach bez nakrycia głowy, to prosta droga do udaru, omdlenia, problemów z krążeniem. Wracając do cholesterolu. Każdemu wydaje się, że jest zdrowy. Przecież dużo chodzę, biegam, jeżdżę na rowerze, pływam, jestem aktywny (a). Tak może być, ale warto się przyjrzeć, czy w rodzinie był jakiś zawał, zapaść, omdlenia. To są sygnały ostrzegawcze, zatem co jakiś czas warto odwiedzić lekarza, zrobić badanie krwi i sprawdzić, czy nasze naczynia wieńcowe są drożne, czy ów podstępny cholesterol ich nie zatyka. A co po zawale i rehabilitacji? Tylko nie kanapa i pilot od telewizora. Ruch przede wszystkim. Na pewno każdy przypadek jest inny i różne są zalecenia lekarzy, ale chyba każdy powie, że aktywności fizycznej nie trzeba się bać. Zawał i pierwszy zabieg miałem w niedzielę, drugi zabieg we wtorek, w czwartek byłem już w domu, a w sobotę pierwsze kilka kilometrów na rowerze, spokojnie i powoli. Potem miesiąc ćwiczeń rehabilitacyjnych, kolejna operacja, a trzy miesiące później pierwsza po „incydencie” tygodniowa wyprawa w Beskid Żywiecki od schroniska do schroniska. Dokładnie pamiętam pierwsze podejście z Rycerki Górnej Kolonii do schroniska na Wielkiej Raczy, jak wsłuchiwałem się w rytm serca, jak kontrolowałem oddech... Nie ma wątpliwości, że aktywność fizyczna przed zawałem i intensywne rehabilitacja po tej awarii pozwoliły na realizację pasji, jaką są góry, wędrowki piesze, narciarskie i na rowerze.

Gdy już w góry trafimy, nie tracimy czujności. Mierzmy zamiar podług sił, planujemy wycieczki odpowiednio do kondycji, o to też wciąż apelują górcy ratownicy. Warto kontrolować pracę serca niekoniecznie przy pomocy nowoczesnego zegarka mierzącego puls i inne parametry, choć na pewno takie urządzenie jest przydatne. Wystarczy nie doprowadzać do sytuacji braku tchu i do łomotu serca, nie iść siłowo. Przed bardziej stromym podejściem warto się zatrzymać na minutę i policzyć tętno. Liczymy przez 15 sekund ilość uderzeń serca, po czym mnożymy przez 4 i wyjdzie nam tętno w ciągu minuty. Ten prosty test stosował każdy uczestnik rehabilitacji pozawałowej w przyszpitalnej



Zawałowcy (autor z bratem) na trawersie Rogaczy w Beskidzie Sądeckim

przychodni po każdym ćwiczeniu gimnastycznym, oddechowym czy po jeździe na rowerze stacjonarnym, kiedy brałem udział w turnusie rehabilitacyjnym. Sprawdzamy więc tętno, uspokajamy oddech i staramy się świadomie spowolnić pracę serca. Można wzorować się na wskazaniach stosowanych w treningu biegowym. Przyjmuje się za najwyższe dopuszczalne tętno wartość liczoną 220 minus wiek, a więc np. dla 40-latką to 180 uderzeń na minutę i jest to wielkość uważana za granicę bezpieczeństwa. Dla mnie (66 l) tą graniczną wartością jest, licząc wg powyższego schematu, 154 uderzeń na minutę. Zwykle nie przekracza ona 140 – 145, mam więc spory zapas. Gdy czuję, że serce pracuje szybko, zatrzymuję się, by je uspokoić. By to zrobić, należy wykonać 6 – 10 głębokich oddechów, wypić kilka łyków wody i ponownie zrobić kilka głębokich oddechów. Po odpoczynku nie ruszać „z kopyta”, tylko powoli. Lepiej jest cały czas iść powoli, bez zrywów, spokojnym krokiem, nie przyspieszać, gdy teren się wypłaszcza, choć to kusi. Nader często spotykam na szlaku w górach turystów, którzy wyprzedzają mnie, „rażno maszerując”, po czym spotykam ich pół godziny później dyszących, siedzących na jakimś głazie czy pniu. Podczas kilkugodzinnej wędrówki taka sytuacja powtarza się dwa, trzy razy. Wyprzedzają mnie, potem mijam ich odpoczywających, po kolejnej półgodzinie wszystko się powtarza i tak parę razy. Po co tak gnać? Nie zrobię tu odkrycia, jeśli powiem, że osoby na co dzień aktywne mają większą tolerancję wysiłku i niższe tętno spoczynkowe, zwykle 50 – 55 uderzeń i dla nich puls wysiłkowy 150 – 160 nie stanowi żadnego zagrożenia. Pamiętajmy też o granicznych wielkościach ciśnienia, które nie powinno przekraczać wartości 140 / 90. Warto je mierzyć co jakiś czas, a przed wyjazdem w góry szczególnie. Wychodząc w góry, sprawdźmy prognozę pogody. Zwykle towarzyszą prognozom informacje dla alergików i osób z problemami kardiologicznymi. Pamiętajmy, że burzowa pogoda może je spotęgować. Pomijając zagrożenia wynikające wprost z burzy, w górach trzeba wziąć pod uwagę te mające wpływ na nasze zdrowie. To tyle przypomnienia o „sprawach sercowych” podczas pobytu w górach. I na koniec. Nie porywajmy się po np. półrocznej przerwie w aktywności fizycznej od ostatniego urlopu od razu na Rysy, Orlą Percę czy choćby na Babią Górę. To naprawdę kiepski pomysł.

Juliusz Wysłouch



**Polub nas
na Facebooku!**

www.na-szlaku.net

Trenczyńskie Cieplice oczyma Agatona Gillera

Przeglądając przewodniki turystyczne i rozmaite reklamowe foldery wydawane „na” oraz „o” Słowacji, musimy stwierdzić, że w tym stosunkowo niewielkim kraju za naszą południową granicą funkcjonuje znaczna ilość uzdrowisk. Ich działalność opiera się głównie o bogate źródła różnych wód mineralnych. Obok wielu mniejszych i mniej znanych miejscowości kuracyjnych znajdziemy tu szereg dużych kurortów cieszących się historyczną renomą od dziesiątków, a nawet setek lat. Wśród tych „topowych” lokalizacji ważne miejsce zajmują Trenczyńskie Cieplice (słow. *Trenčianske Teplice*).

Położone są w zachodniej Słowacji u zachodnich podnóży Gór Strażowskich (Strážovské vrchy) jakieś 10 km od Trenczyna. *W pobocznej dolinie, po której do rzeki Wagi toczy się potok Tiepła, wytryska sześć źródeł siarczanych gorących, które co rok latem sprowadzają setki ludzi, szukających tu ulgi w cierpieniach reumatycznych. Pięć z tych źródeł zostało ocembrowanych deskami i nad każdym z nich utworzono rodzaj sadzawki czyli basenu, do których woda przez otwory podłogi nieustannie bije ze źródeł, wyrzucając na jej powierzchnię w kształcie bąbli gazy wodorodno-siarkowe. Nad sadzawkami wymurowano kolumnami podparte sale z kopułami, a po bokach obszerne izby przeznaczone do rozbiegania się i ubierania po użyciu kąpeli.*

Powyższy cytat to pierwszy akapit wydanej w 1876 r. we Lwowie książki autorstwa Agatona Gillera (1831-1887) pt. „Z podróży po kraju słowackim”. Giller, polski publicysta i pisarz, zawzięty konspirator i działacz niepodległościowy, a przede wszystkim członek i prezes Rządu Narodowego w czasach powstania styczniowego, był postacią zupełnie nietuzinkową, nawet jak na swoje niespokojne czasy. Był m. in. słuchaczem nadzwyczajnym Wydziału Filozofii Uniwersytetu Jagiellońskiego, gdzie uczęszczał na wykłady Józefa Kremera i wspomnianego niedawno na tych łamach („NS” grudzień 2022) Wincentego Pola. Latem 1852 roku przyłączył się do studenckiej wyprawy naukowej w Tatry kierowanej przez autora



Wille „Krista” i „Margit” w dolnej części uzdrowiska, w głębi kościół św. Stefana Króla



Zakład kąpielowy Hammam (1888)

„Pieśni o ziemi naszej”. Wyśledzony przez policję austriacką, jako poddany rosyjski, został wydany w kwietniu 1853 roku żandarmerii rosyjskiej i odbył kolejną „wyprawę” - na Syberię. Jego dalszymi burzliwymi losami można by z czystym sumieniem obdzielić kilka osób. Zresztą, opisał nam je już dość obszernie Janusz Fuksa („NS” maj 2020). Wyczerpujący tryb życia i ciągle przeprowadzki (prawie stale był poszukiwany przez policję któregoś z trzech państw zaborczych) dość szybko doprowadziły do upadku zdrowia Gillaera. Dla jego podratowania przebywał m. in. latem 1870 r. na kuracji w Szczawnicy, zaś nieco później odwiedził właśnie Trenczyńskie Cieplice. O źródłach mineralnych, stanowiących podstawę tutejszych kuracji pisał tak:

Źródła te wytryskają na dnie doliny na przestrzeni 3.600 sążni kwadratowych obejmującej z pokładów wapiennych; woda w nich czysta, zielonawa, zapach siarki zwłaszcza też po burzy jest mocny.

Pierwsze z tych źródeł „Pierwotnem” (Urquelle) zwane, odkryte zostało 500 lat temu przez słowackiego pasterza. Widząc bagno parujące, zbliżył się do niego a wymoczywszy w jego wodzie ranami pokryte nogi, uczuł znaczną ulgę w swoim cierpieniu. (...) następnie wszystkim znajomym opowiadał o dobroczynnym skutku owej wody w dolinie pod górą Klepacz znajdującej się i zwrócił na nią uwagę okolicznych mieszkańców. Odtąd coraz więcej ludzi szukało ulgi w cierpieniach u wód tutejszych, o których pierwsza pisana wzmianka znajduje się w dokumencie z r. 1488.

Agaton Giller nie mógł dotrzeć do wszystkich obecnie dostępnych dokumentów i źródeł historycznych dotyczących trenczyńskich cieplic. Przypuszcza się, że wody te znali już rzymscy żołnierze II legii legata Marcusa Valeriusa Maximianusa obozujący tu w 179 r., o których pobycie świadczy odkryty w 1854 r. napis na zamkowej skale w Trenczyńcu (patrz „NS” wrzesień 2020). Pierwsza pisemna wzmianka o źródłach pochodzi z 1247 r. Kolejny raz wzmiankowano je w 1379 r. jako należące do feudalnego „państwa” z siedzibą na trenczyńskim zamku. Dalsze ich dzieje tak opisywał Giller:

Jerzy Wernher, który wydał w Wiedniu 1551 r. dzieło „O cudownych źródłach Węgier” opisał już w niem dokładnie termalne źródła trenczyńskie, jako od dawna znane i używane. W dziele Tomasza Jordana wydanem w r. 1586 o źródłach leczniczych Morawy, poświęcony jest osobny rozdział trenczyńskim wodom. Z dalekich stron przybywali wtedy chorzy do tych źródeł. Bogaci zamieszkiwali w namiotach, które pod górami w bliskości źródeł rozbijali, ubożsi szukali pomieszczenia w szałasach i budach.

Zaczątki budowy uzdrowiska należy przypisać rodzinie Illésházycz,



Fragment pieczołowicie odnowionej dawnej secesyjnej zabudowy uzdrowiska



Willa „Tereza” w górnej części uzdrowiska nawiązuje wyglądem do architektury alpejskiej

która władała trenczyńskim „państwem” od roku 1594 do 1835. To za ich czasów wokół źródeł zaczęła powstawać osada coraz częściej odwiedzana nie tylko przez Węgrów, ale również obcokrajowców.

W roku 1725 postawiono dla gości kąpielowych dwa domy drewniane i jeden murowany. W roku 1752 wskutek rozkazu właściciela, hr. Józefa Illyesahzy, ocembrowano po raz pierwszy źródła, wymurowano mały kościółek, bardzo skromny, na głównym placu osady w wieńcu lip dzisiaj znajdujący się, postawiono karczmę i kilka gościnnych domów. Następny właściciel Stefan hrabia Illyesahzy rozszerzył osadę, lecz dopiero po przejściu dóbr trenczyńskich z rąk ostatniego potomka tego sławnego rodu magnatów węgierskich (1835) w ręce albańskiego Greka, Jerzego Sina, powstał tu zakład kąpielowy, odpowiadający wymaganiom wygody i zdrowia gości.

Jerzy Sina (gr. Georgios Sinas, 1783-1856) był bogatym grecko-austriackim bankierem, przedsiębiorcą, dyplomatą i filantropem. Był z pochodzenia arumunem, jego rodzina pochodziła z nieistniejącego już miasta Moskopole w południowej Albanii. Był fundatorem Narodowego Obserwatorium w Atenach (1842) oraz głównym sponsorem słynnego Mostu Łańcuchowego w Budapeszcie (1849). Po kupnie uzdrowiska kazał wybudować w nim nowy budynek dla kąpeli wannowych, a stare obiekty dał zmodernizować. W tym czasie zaczęły w Trenczyńskich Cieplicach powstawać pierwsze budynki z pokojami i mieszkaniami na wynajem.

Uzdrowisko szybko się rozwijało i po śmierci Jerzego, gdy władał nim jego syn, Szymon Sina (Simon Sinas, 1810-1876), również bankier i przedsiębiorca, wieloletni ambasador Grecji w Wiedniu, w końcu dyrektor Narodowego Banku Austrii i arystokrata (baron) zasiadający w austriackiej Izbie Panów jako Simon von Sina. W tym czasie powstały kryta promenada, park, szereg wytwornych hoteli i pensjonatów oraz Dom Zdrojowy „Sina” w centrum uzdrowiska. Znajduje się tu źródło „Ifigénia”. Jest to woda wysokozmineralizowana (2680 mg/l), termalna (temperatura wody 39,3°C), siarczanowo-siarczkowo-wapniowo-magnezowo-fluorkowa, wodorowęglanowa, słabo kwaśna, hipotoniczna. Stosowana jest wewnętrznie m. in. przy schorzeniach wątroby i woreczka żółciowego, układu moczowego, przy cukrzycy, dnie moczanowej.

Źródło „Ifigénia” otrzymało swą nazwę na cześć Józefy Ifigenii de Castries d’Harcourt, baronówny Sina de Hódos et Kizdia, urodzonej 1 lipca 1846 r. w podwiedeńskim Penzingu. Była najmłodszą córką barona Szymona Siny i jego żony Ifigenii Ghika. W roku 1876, po śmierci ojca, została właścicielką uzdrowiska. To ona koło Domu Zdrojowego „Sina” dała wybudować architektoniczne „cudeńko” (cokolwiek by pod tym pojęciem nie rozumieć...) – słynny orientalny Hammam (z arabskiego: łaźnia) wzniesiony wg projektu F. Schmoranza młodszego, nadwornego architekta wicekróla Egiptu. Otwarty w 1888 r., do dziś



Sanatorium „Krym” – przykład współczesnej zabudowy



Ulica T. G. Masaryka – główny deptak uzdrowiska

zadziwia arkadowym wnętrzem z bogatą ornamentyką w stylu arabsko-mauretańskim. Sfinansowała również budowę katolickiego kościoła pw. św. Stefana Króla. W roku 1892 wybudowała *Kursalon* - nowoczesny salon kuracyjny z kawiarnią, czytelnią i wielką salą koncertową. Zmarła po ciężkiej chorobie 27 lipca 1914 r. w Paryżu – już jednak nie jako „pani” uzdrowiska, które w 1909 r. zostało sprzedane węgierskiej spółce.

Jak przedstawiała się „kąpielowa” rzeczywistość Trenczyńskich Cieplic oglądana w połowie XIX w. oczyma Agatona Gillera?

Chorzy po przybyciu i naradzie z jednym z lekarzy zdrojowych, dr. Venturą albo dr. Naglem, rozpoczynają kąpiel w jednej z sadzawek wskazanych przez lekarza, przebywając w wodzie 15 minut. Czas przebywania w wodzie przedłuża się z każdą kąpielą pięć minut aż do trzech kwadransy, a nawet godziny. Wiele osób jednak z powodu wysokiej temperatury wody nie może wytrzymać kąpeli w sadzawce; ci kąpią się w wannach pomieszczonych w dobrze utrzymanych lazienkach, gdzie według woli można zmniejszyć temperaturę gorącej wody, sprowadzanej rurami z najdawniej odkrytego źródła, albo też używają kąpeli natryskowych (tusze). Według ostatnich obserwacji temperatura wody w „Źródle Siny” wynosi 40 [stopni] według termometru Celsjusza; w sadzawce nr 1. wynosi 39 [stopni] według tegoż termometra, w sadzawce nr 2. wynosi 38 [stopni], w trzeciej 38 [stopni], a w pierwotnym źródle 40 stopni.

Kąpiel jest wspólną dla mężczyzn i kobiet. Każdy ubrany w długą koszulę wstępuje do sadzawki, w której woda sięga za ramiona, i albo siada na ławkach w wodzie przy ocembrowaniu pomieszczonych, albo też chodzi po sadzawce, z których najobszerniejsza (nr. 1 oznaczona) ma 40 stóp długości a 18 szerokości.

Dziś oczywiście trochę to wszystko inaczej wygląda. Aby przynajmniej z zewnątrz rzucić okiem na „cieplice” zostawiamy autko na dużym parkingu w centrum miejscowości przed wspomnianym kościołem św. Stefana i głównym deptakiem (ul. T. G. Masaryka) zanurzamy się w nieco senną atmosferę uzdrowiska. Na samym początku mijamy nowe hotele sanatoryjne: „Slovakia”, „Krym” i „Pax”. Niezbyt rzucająca się w oczy tablica na ścianie tego ostatniego oznacza miejsce, w którym w przeszłości stał dom uzdrowiskowy „Poniatowski”. W latach 1910-1923 ordynował w nim dr Antonín Čapek, jednocześnie aktywny organizator życia społeczno-kulturalnego w uzdrowisku. Często przyjeżdżały tu jego dzieci: Helena, Jozef i Karel. Ten ostatni, z czasem wybitny czeski pisarz, prozaik i dramaturg, tu pisał m. in. swoje dramaty „Loupežník” i „R.U.R.”, słynną „Fabrykę Absolutu” oraz pierwsze rozdziały powieści „Krakatit”.

Dalej, po lewej, mijamy wspomniany arabski *Hammam*, po czym na skraju parku, na prawym brzegu potoku Teplička zwraca naszą uwagę zespół pieczołowicie odrestaurowanych pensjonatów z przełomu XIX i XX w. Niestety, po dawnym *Kursalonie* pozostał tylko drobny fragment, a jego historię przypomina jedynie nazwa i data (1892) na zupełnie nowym (i trochę nijakim...) obiekcie. W parku, ładnie utrzymanym, oprócz drzew pospolitych dla tego regionu znajdujemy również kilka gatunków egzotycznych, takich jak cypryśnik błotny, jodła kaukaska, glediczja trójcierniowa, amerykański orzech czarny czy endemityczna metasekwoja chińska.

Kuracjusze mogą skorzystać z paru ścieżek dydaktycznych wytyczonych w najbliższej okolicy uzdrowiska – z drózek i ścieżek, którymi je poprowadzono, korzystał już wspomniany wyżej Agaton Giller, co zresztą interesująco opisał w przytaczanej książce. Jest ono również punktem wyjściowym kilku znakowanych szlaków turystycznych prowadzących w Góry Strażowskie – drogowskazowy „grzybek” znajduje się na skraju parku zdrojowego.



**Co jeszcze można robić w Trenczyńskich Cieplicach?
(jedna z rzeźb w parku uzdrowiskowym)**

Miroslaw J. Barański

Dwie rocznice (1) – 200 lat żeglugi parowej na Lemanie

Jeziro Genewskie... Na mapie mały, błękitny rogalik wciśnięty między Alpy i pasmo Jury. W rzeczywistości – 581 km² wody, wokół której ciągnie się łańcuch miast, miasteczek, wsi i niewielkich osad rozdzielanych polami, prostokątami winnic i krętymi pasami zagajników. Od z górą dwóch wieków pożądanym celem podróżników, turystów i kuracjuszy z całego (no, głównie tego zamorskiego...) świata.

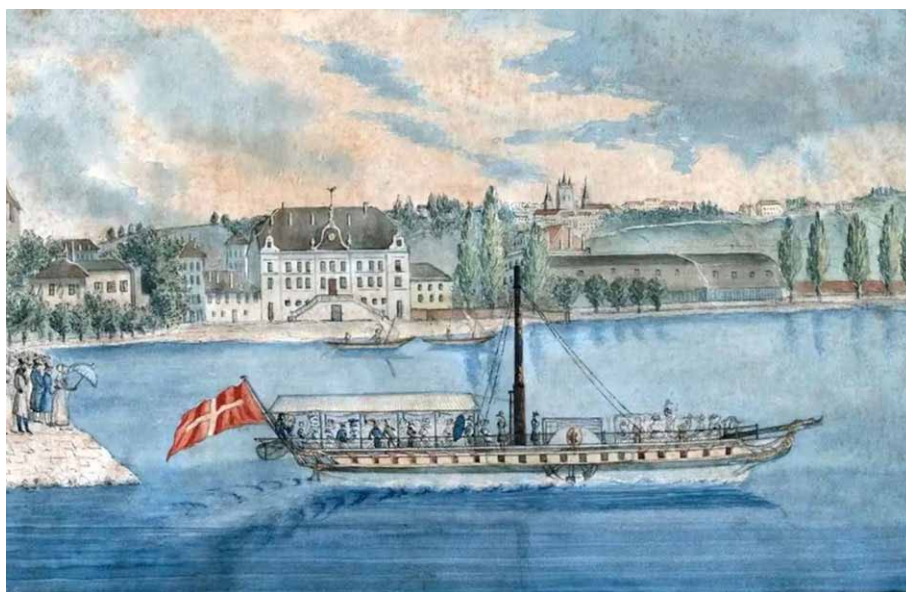
Po Jeziorze Genewskim, zwanym tu również Lemaniem, pływano od dawna. Archeolodzy dość dobrze poznali już drewniane dłubanki mieszkańców brzegów Lemanu z okresu neolitu czy łodzie dawnych Helwetów i Allobrogów. Żegluga na Lemanie nabrała rozmachu w okresie rzymskim, uzupełniając z powodzeniem drogi lądowe. Najstarsza wzmianka pisemna o lemańskim statku czasów nowożytnych pochodzi z połowy XIII w., a dotyczy ona spacerowej barki księcia sabaudzkiego Piotra II, którą ten wyruszał często ze swej siedziby w zamku Chillon na wycieczki po jeziorze. W następnych wiekach na akwenie pływały nawet niewielkie floty wojennych galer uzbrojonych w działa. Zanikły one z końcem XVII w., kiedy to zaczął się wykształcać typ najslawniejszych lemańskich „żaglowców” - słynnych dwumasztowych barek. Przez dwa stulecia statki te, których głównym ładunkiem był kamień budowlany z kamieniołomów w Meillerie oraz żwir i piasek z delty Rodanu na wschodnim krańcu jeziora (zbudowano z tego znaczną część Genewy!) władowały żeglugą na Lemanie.

Nic jednak nie trwa wiecznie. Jak się wydaje, mieszkańcy brzegów Jeziora Genewskiego byli zbyt przekonani o przewagach żagli i swoich „uszatych” barek (owe „uszy” to ustawiane przeciwstawnie dwa trójkątne, łacińskie żagle) albo po prostu zbyt konserwatywni, przez co zupełnie przespali moment pojawienia się napędu parowego. A na początku lat 20. XIX w. w całej Europie pływało już ok. 300 statków napędzanych parą! Dlatego z pewnym niedowierzaniem spoglądali na pomysł Edwarda Churcha, konsula Stanów Zjednoczonych we Francji, a jednocześnie człowieka interesu, który na własny koszt i ryzyko postanowił taki parowiec zbudować na Lemanie i przewozić tym

pyroscaphem wszystkich chętnych - rzecz jasna za rozsądną opłatą! Statek (o drewnianym kadłubie!) długości 23 m i szerokości 4,6 m, którego kotły i maszyna parowa o mocy 12 HP pochodziły z Anglii, został skonstruowany we francuskim Bordeaux. W częściach przywieziono go do Genewy (rzecz jasna wodą i wozami konnymi, bo kolej dotarła tu dopiero w 1858 r.) i zmontowano na nabrzeżu jeziora w Eaux-Vives. Parowiec, zwodowany 23 maja 1823 r., zabierający 200 pasażerów i rozwijający prędkość 13 km/godz., otrzymał oczywiście nazwę „Guillaume Tell”. Warto tu od razu dodać,



Jeziro Genewskie (współczesna kartka pocztowa)



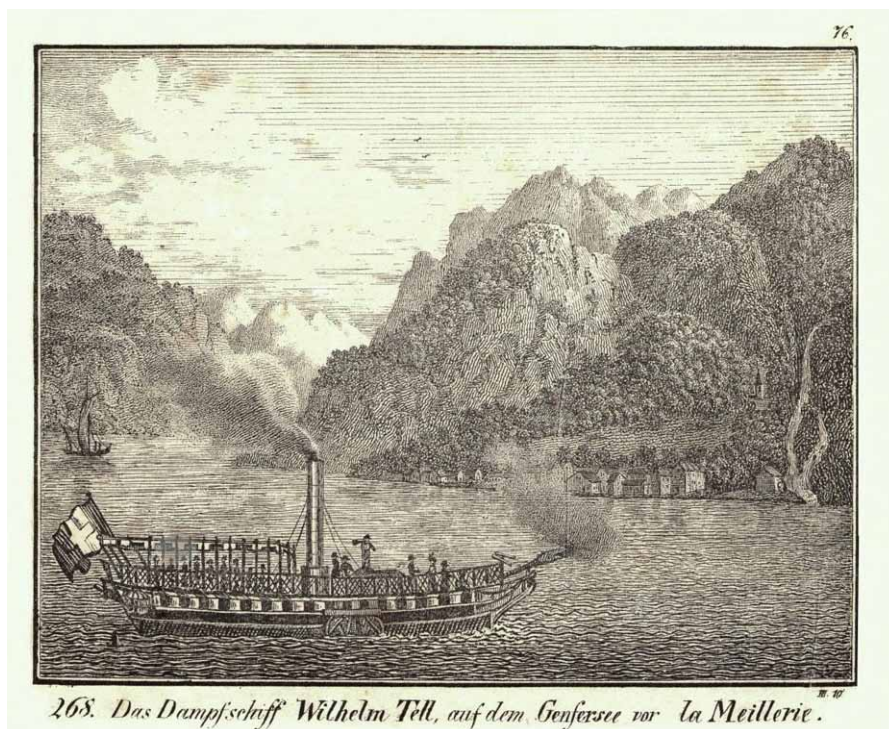
„Guillaume Tell” (1823), pierwszy parowiec na Jeziorze Genewskim

że 2 marca 2023 r. poczta szwajcarska upamiętniła 200. rocznicę tego wydarzenia, wprowadzając do obiegu znaczek wartości 1,10 franka, przedstawiający historyczny statek.

Sukces nowego środka transportu był niebywały! Trasę z Genewy do Lozanny statek pokonywał 6 godzin. Wielu mieszkańców Genewy, pomimo wcześniejszego sceptycyzmu, zaczęło ustawiać się w kolejce po bilety na wycieczkowy rejs parowcem. E. Church wraz z dwoma miejscowymi wspólnikami powołał więc spółkę pod nazwą „Société des Actionnaires Genevois”, która zwodowała w następnym roku drugi parowiec obliczony na 300 osób, pływający z prędkością 14,5 km/godz. Zbudował go, tym razem już na miejscu w Genewie, pochodzący z Bordeaux inżynier Mauriac. Statek otrzymał imię „Winkelried” – na cześć innego wielkiego bohatera Szwajcarów. Służył początkowo jako prom kursujący między wybrzeżami Eaux Vives i Pâquis, ale w sezonie letnim organizowano nim również dalsze wycieczki. To właśnie tym statkiem wyruszył w 1834 r. z Genewy do Villeneuve Juliusz Słowacki, który tam rozpoczął swoją trzytygodniową wędrówkę po Alpach.

Powodzenie statków, ciągnących za sobą delikatną wstążkę dymu (kotły opalane były drewnem), natychmiast pobudziło do działania konkurencję. W 1826 r. w Ouchy (dziś nadbrzeżna dzielnica Lozanny) nowo powstała spółka, złożona z akcjonariuszy z kantonu Vaud, zbudowała trzeci statek, jeszcze większy i jeszcze szybszy: zabierał 500 pasażerów i rozwijał prędkość 17,5 km/godz. Nazwano go „Léman”. Wszystkie te jednostki były drewnianymi bocznokołowcami o podobnych sylwetkach, z wysokimi, rurowatymi kominami i płóciennymi markizami rozpinanymi nad pokładem. Niektóre nie posiadały również jeszcze charakterystycznych osłon kół łopatkowych cechujących późniejsze konstrukcje.

W 1837 r. nowe genewskie towarzystwo akcyjne zwodowało statek „l'Aigle” („Orzeł”) zabierający 500 pasażerów i rozwijający już prędkość 20 km/godz. W 1839 r. powstała w Genewie kolejna spółka, która w 1841 r. zwodowała „Helvétie” obliczoną na 800 pasażerów (23 km/godz.). W odpowiedzi konkurencja przebudowuje „l'Aigle” na „l'Aigle II”, podwyższając jego prędkość podróżną do 22 km/godz. Prędkości rozwijane przez ówczesne lemańskie parowce były porównywalne z prędkościami statków morskiej żeglugi parowej. Dla przykładu można podać, że średnie prędkości podróżne osiągnęły w latach 1840-1842 przez statki „Britannia” i „Columbia” na trasie transatlantyckiej



268. Das Dampfschiff "Wilhelm Tell", auf dem Genévesee vor la Meillerie.

„Guillaume Tell” u stóp skał w Meillerie



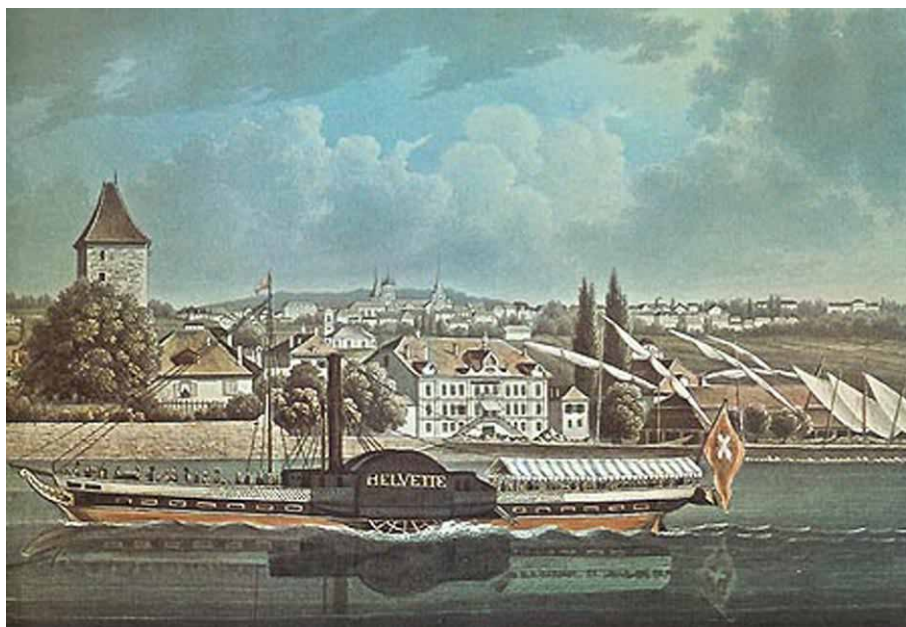
„Le Léman” (mal. Jaen Du Bois, 2. ćw. XIX w.)

wynosiły 9,78 – 10,72 węzła, czyli ok. 18 – 20 km/godz.

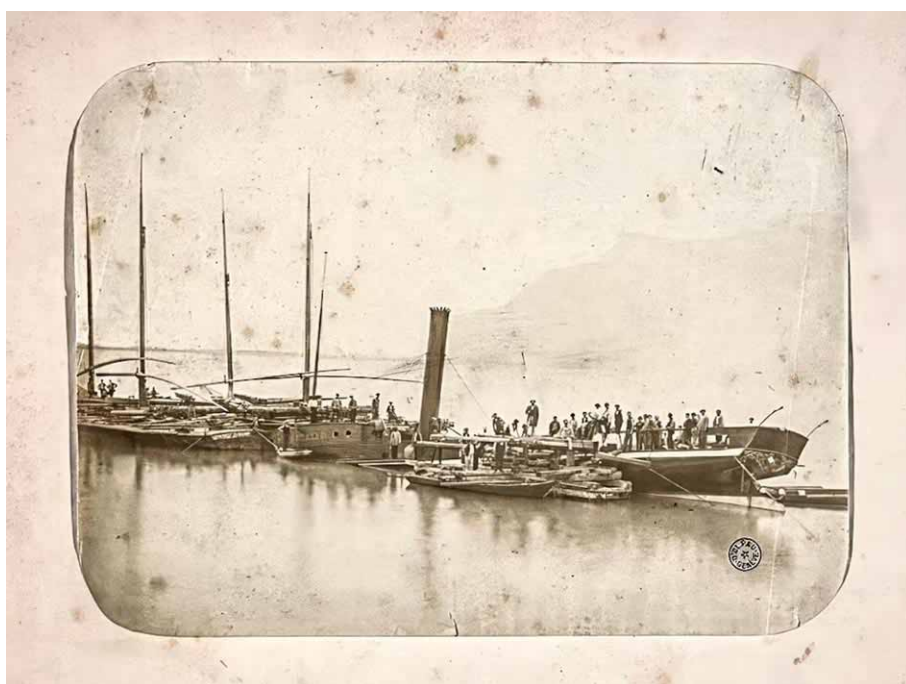
Ważną datą dla żeglugi na Jeziorze Genewskim był rok 1842, kiedy doszło do połączenia 3 operujących na nim towarzystw żeglugowych: spółki z Ouchy i obu towarzystw genewskich. Wspólnie eksploatują one „l’Aigle” II, „Léman” II i „Helvétie” oraz zamawiają nowe jednostki. M. in. w 1855 r. w zakładach Escher Wyss w Zurychu powstaje wielki statek, długości 52 i szerokości 11 m, zdolny pomieścić nawet 800 pasażerów. Zmontowany i zwodowany w Ouchy 27 sierpnia 1856 r. otrzymał nazwę „l’Hirondelle” (*Jaskółka*). Zapisał się w kronikach jako pierwszy parowiec żeglugi lemańskiej o stalowym kadłubie zbudowany całkowicie w Szwajcarii i jako ofiara drugiej katastrofy „morskiej” na Lemanie: 10 czerwca 1862 r. osiadł na skałach w rejonie La Tour-de-Peilz. Pasażerom szczęśliwie nie się nie stało. Przez ponad miesiąc trwały bezskuteczne próby ściągnięcia jednostki na wodę. Kres położyła im gwałtowna burza w dniu 29 lipca, podczas której statek ostatecznie zatonął (jego wrak odnaleźli pletwonurkowie-amatorzy w 1966 r. na głębokości 41-58 m).

A pierwsza katastrofa? Wydarzyła się 1 sierpnia 1858 r., w niedzielne popołudnie, na wysokości miasta Nyon i była znacznie bardziej tragiczna. Uczestniczyła w niej płynąca do Genewy „Helvétie”. Parowiec spieszył się, by przechwycić oczekujących pasażerów, nim dopłynie następujący mu na pięty „l’Aigle” II. W tym czasie porty w większości nie posiadały jeszcze nabrzeży umożliwiających cumowanie tak dużych jednostek i pasażerów dostarczano na pokład (i z niego odbierano) przy pomocy niewielkich wiosłowych łodzi. Kapitan „Helvétie”, podpływając ku brzegowi, nie zauważył jednej z dwóch zbliżających się łodzi i staranował ją. Orkiestra grająca głośno na pokładzie parowca miała skutecznie zagłuszyć krzyki ludzi w wodzie, z których część została wciągnięta pod koła statku. Zginęło 16 osób. Po szeroko opisywanym procesie kapitan jednostki i pilot zostali skazani odpowiednio na 5 i 6 miesięcy więzienia. Natomiast w wyniku kampanii prasowej miejscowości obsługiwane przez parowce poczuły się zobligowane do budowy odpowiednich nabrzeży.

W międzyczasie powstają kolejne statki. W 1857 r. budowane są „l’Aigle” III i „Léman” III (w miejsce „l’Aigle” II i „Léman” II), w 1866 r. „Bonivard” (900 miejsc, 26,5 km/godz.). 4 lata później w Morges powstał dwukominowy „Winkelried” II mogący zabrać na pokład aż 1100 osób i rozwijający prędkość do 28,5 km/godz. W swoim pierwszym rejsie z Morges do Genewy przewiózł on tysiąc rannych żołnierzy francuskiej Armii Wschodniej gen. Charlesa Denisa Bourbakiiego internowanych w Szwajcarii w styczniu 1871 r. w czasie wojny francusko-pruskiej (łącznie przewieziono 14,5 tys. żołnierzy).



„Helvétie” w Lozannie-Ouchy (przed przebudową z 1872 r.)



„L’Hirondelle” na skałach Tour-de-Peilz w 1862 r.

Żegluga parowa na jeziorze w krótkim czasie zyskała ogromną popularność. Jako środek transportu wygrywała z transportem kołowym (czyli dylizansem) szybkością i wygodą. Wszystkie większe miejscowości nad jeziorem przebudowywały swe przystanie tak, by móc przyjmować coraz większe jednostki. Statki kursowały wzdłuż całego jeziora. W rozkładzie rejsów z dnia 1 lipca 1862 r. figurowały po 2 kursy dziennie na trasie z Genewy do Bouveret i z powrotem obsługiwane przez 4 statki: „Léman”, „l’Aigle”, „l’Hirondelle” i „Helvétie”. Rejs na trasie Genewa – Versoix – Coppet – Nyon – Rolle – Morges – Ouchy (Lozanna) – Lutry – Cully – Vevey – Montreux – Villeneuve – Bouveret trwał już tylko 5 godzin.



„Winkelried” (II)

Pomijając podane wyżej walory praktyczne tego nowego środka transportu, należy dodać, że rejsy parowcami szybko stały się ulubioną rozrywką co zamożniejszych mieszkańców pobliskich kantonów, a przede wszystkim coraz liczniej przybywających tu turystów. Z czasem nawet większość pasażerów zaczęła rekrutować się spośród nich, a także spośród bywalców kurortów w Vevey i Montreux oraz położonych na francuskim brzegu Évian i Thonon. Pływano do Clarens, w którym Jean Jacques Rousseau skoncentrował akcję swej „Nowej Heloizy”, do zamku Chillon, by oglądać słynną, spopularyzowaną przez G. G. Byrona w poemacie „Więzień Chillonu” celę księdza Bonivarda, a także do skalnych urwisk w Meillerie na południowym, francuskim brzegu jeziora. Po jednej stronie Lemanu przyciągały oko wysokie, do późnej wiosny ośnieżone, szczyty Alp Sabaudzkich, po drugiej – słoneczne, pokryte pastwiskami i uprawami stoki wspinające się łagodnie ku grzbietom Jury. Statki były coraz wygodniejsze i coraz szybsze, a poziom usług na pokładach coraz wyższy. W pierwszej klasie na stołach królowały dobrze schłodzone, wysmienite białe wina z tutejszych winnic La Côte i Lavaux. Niewielu przypuszczało, że może być jeszcze lepiej. Ale mylili się, bo właśnie nadciągał złoty wiek lemańskiej „Białej Floty”. (c.d.n.)

Miroslaw J. Barański

Kilka słów sprostowania i uzupełnienia

Po publikacji w numerze sierpniowym NS wspomnienia śp. Rysia Gerszewskiego, do chwili śmierci przewodniczącego KTN ZG PTTK, otrzymaliśmy od kol. Edmunda Brzozowskiego ważne uzupełnienie informacji dotyczącej pełnienia stanowiska przewodniczącego komisji przez Ryszarda. W mojej notce była istotna nieścisłość, w jej treści nieświadomie pominąłem okres pełnienia tej funkcji przez kol. Brzozowskiego. Należy zatem wyjaśnić, co następuje.

Otóż wspomniany (w notce o Ryszardzie Gerszewskim) śp. Andrzej Stróżecki był przewodniczącym KTN ZG PTTK w XVI kadencji ZG PTTK, a XVII kadencji był v-ce przewodniczącym KTN ZG PTTK. Natomiast w **XVII i XVIII kadencji ZG PTTK działalność KTN ZG PTTK przewodniczył kol. Edmund Brzozowski** (obecnie Honorowy Przewodniczący KTN ZG PTTK). W grudniu 2017r. podczas KNAN-2017 w Szczyrku kol. śp. Ryszard Gerszewski został wybrany na przewodniczącego KTN ZG PTTK na XIX kadencję ZG PTTK. **KNAN-2023 w dniu 01.04.2023 w Krakowie powierzyła ponownie dla śp. kol. R. Gerszewskiego obowiązki przewodniczącego KTN ZG PTTK na XX kadencję.**

Przyznaję, że nie śledziłem kwestii personalnych w KTN, będąc bliżej osób, które znam lub znałem ze wspólnych narciarskich wydarzeń turystycznych, stąd nieścisłość we wspomnianej notce.

Juliusz Wysłouch

Góry Krzemienieckie

Góry Krzemienieckie zajmują północno-zachodnią część Pasma Gołogórsko-Krzemienieckiego na Wysoźnie Podolskiej. Utworzony tu w 2009 r. park narodowy znajduje się na terenie rejonu krzemienieckiego w obwodzie tarnopolskim. Jego powierzchnia wynosi 69,5 km². Góry, o długości pasma 65 km, ograniczone są dolinami rzek Ikwy, Kutianki i Wilii w zlewni Prypeci. Najwyższe szczyty to Drabanycha (409 m n.p.m.) i Łysa Góra (400 m n.p.m.). Góry Krzemienieckie stanowią pasmo z płaskimi szczytami, wzniesieniami-ostańcami, pełne wąwozów i jarów rzecznych o niesymetrycznych zboczach. Pasma łagodnie obniża się ku południu i przechodzi w równinę (120-150 m n.p.m.). Góry zbudowane są z wapieni, kredy i piasku. Erozja spowodowała powstanie studni krasowych i jaskiń długich na setki metrów (Studencka Pieczara, Pieszczańka). W górach wyróżniono 4 rezerваты przyrody, 5 pomników przyrody ożywionej (botaniczne) i 4 pomniki przyrody nieożywionej (geologiczne). Kamieniste szczyty okolone są najczęściej gołoborzami. Stara kopalnia na przedmieściu Krzemieńca odsłoniła żyłę kredową, miejsce to uznano za rezerwat przyrody. Klimat jest kontynentalny umiarkowany, z latem bez upałów i łagodną zimą, i ze średnią ilością opadów.

20% terenu parku zajmują lasy liściaste. Cenne przyrodniczo są lasy bukowe wokół szczytów Maslatyn i Czercza. W lasach występują dęby, klony, graby, jawory, jesiony, olchy, topole, wierzby. Z drzew iglastych dominują sosny. Góry okalają łąki i zarośla turzycy nad wodami. W parku naliczono 1189 gatunków roślin, w tym 16 endemicznych. 52 gatunki wniesiono do ukraińskiej „czerwonej księgi” (która jest oficjalnym dokumentem, zawierającym wykaz rzadkich, wrażliwych i znikających gatunków roślin). Jest to np. reliktowa brzoza Kłokowa, występująca tylko wokół gór Maslatyn (398 m n.p.m.) i Strachowa (384 m n.p.m.). Wczesną wiosną kwitną kilometrowym kobiercem śnieżyczki przebiśniegi. Latem kwitną białe goździki, białe ta-wuły, białe grubosze, czerwone jasnoty, niebieskie pszczelniki i różowe astry. Rosną grzyby: borowiki, maślaki, surojadki i pieprzniki.

W parku opisano 220 gatunków zwierząt kręgowych, w tym 151 gatunków ptaków. 53 gatunki zwierząt wpisano do „czerwonej księgi” Ukrainy, a 16 – do europejskiej „czerwonej księgi”. W lasach mieszkają: jeleń szlachetny, sarna europejska, dzik, borsuk, lis, kuna leśna, zając szary, wiewiórka. Czasami pojawia się łoś europejski, który jest w „czerwonej księdze” Ukrainy. Spośród ptaków żyją tu: kruki, gawrony, sowy, sroki, skowronki, jerzyki, turkawki, dzierzby, przepiórki, sikory, gołębie, wróble. Nad wodami bytują: mewy, czaple siwe, derkacze, kaczki. Przylatują niekiedy orzeł bielik, bocian czarny, puchacz, drozd, dzięciołek. W jaskiniach żyje 13 gatunków nietoperzy. Z płazów występują: jaszczurka zielona, żmija zwyczajna i wąż zwyczajny.

Wytyczono 7 szlaków turystycznych, 3 ścieżki ekologiczne, 4 trasy rowerowe. Jest trasa saneczkowa. W górach ćwiczą alpinisci, latają paralotniarze. Organizuje się wycieczki konne. W parku utworzono ogród botaniczny. Pamiątki archeologiczne stanowią dawne osady i grody, łańcuchy umocnień wojennych, budowle obronne. Są cmentarze kozacki i żydowski. Obok parku znajduje się Poczajów z zabytkową ławrą (a więc ważnym monastyrem), jedną z dwóch takich w Ukrainie (najważniejsza to Peczerska Ławra w Kijowie).

Sam Krzemieniec jest ciekawym architektonicznie miastem z zabytkami historii, wśród których najcenniejszy to zamek będący w ruinie. Dyrekcja parku narodowego ma siedzibę w Krzemieńcu.

Janusz Fuksa



Zamkowa Góra

16. spacer historyczno-krajoznawczy – Walończycy

W ostatnią środę lipca 2023 roku Muzeum Karkonoskie wraz z Regionalną Pracownią Krajoznawczą Karkonoszy działającą w Oddziale PTTK „Sudety Zachodnie” w Jeleniej Górze zaprosiły chętnych na spacer historyczno-krajoznawczy poświęcony poszukiwaczom skarbów znanych jako Walonowie.

Tym razem spotkaliśmy się w Oddziale Muzeum Karkonoskiego Dom Braci Carla i Gerharta Hauptmannów w Szklarskiej Porębie. Na moje zaproszenie przybył do nas Arkadiusz Wichniak – prezes Sudectkiego Bractwa Walońskiego, który przybliżył nam historię związaną z poszukiwaniem złóż kopalin mającym miejsce już w XII wieku. Wtedy to przybyli w nasze góry przybysze z regionu Walonia znajdujące się na pograniczu Niemiec, Belgii i Francji.



Przybysze ci poszukiwali ukrytych w ziemi bogactw naturalnych. A że ich wiedza wykraczała daleko ponad przeciętną w tamtym okresie, szybko zaczęto traktować ich jako ludzi nieprzeciętnych. Niestety odnajdywane przez nich bogactwa zaczęły kłuć w oczy zwykłych zjadaczy chleba i pojawiała się u nich coraz większa niechęć do takich osób. Nie ułatwiało to Walończykom egzystencji w społeczności i dlatego coraz częściej zamieszkiwali oni w miejscach nieco oddalonych od skupisk ludzkich. A to znowu powodowało powstawanie mitów o ich niezwykłych bogactwach.

Trzeba przyznać, że Walonowie faktycznie bogacili się niezwykle szybko, ale wynikało to z ich niezwykłej wiedzy o minerałach i rudach występujących w naszych górach. Ich praca nie należała do łatwych i bezpiecznych. Wyruszając na poszukiwania, mieli świadomość, że może to być już ich ostatnia podróż. Tak też się niestety zdarzało. Wielu z nich nie wracało do domów. Bliscy wiedzieli, że nie ma nadziei na odnalezienie ich żywych. Niestety nasze góry w tamtych czasach nie należały do bezpiecznych. Nie było wówczas sieci dróg, lasy zamieszkiwały wilki i niedźwiedzie, do tego często zmieniające się błyskawicznie warunki atmosferyczne – wszystko to ważyło na losie osób wyruszających na poszukiwania.



Arkadiusz Wichniak zaprezentował nam niezwykle ciekawą publikację, jak sam o niej mówi, biblię dla górników. Zawarte są w niej wskazówki, jak należy przygotować się do poszukiwania rud. Jest to księga Agrykologii. Przypomniał, że Walonowie zbierali się w Szklarskiej Porębie Dolnej w rejonie Orlej Skały, gdzie oddawali honory Bogu, by następnie udać się pod Misę Cukru, by prosić Ducha Gór o przychylność dla nich. Do naszych czasów zachowała się pamięć o tych niezwykłych poszukiwaczach

w postaci nazw np. Złotówka czy Złoty Potok. Walonowie mieli raz do roku sejmiki, które odbywały się we Wrocławiu na Placu Solnym. Przybywali tam odziani w czerwone szaty, mając na głowie kapelusze o dużym rondzie, co pozwalało im na łatwe rozpoznanie. Przekazywali sobie wówczas wiadomości o odkrytych miejscach, do których warto się wybrać, by pozyskiwać minerały czy różnego rodzaju surowce.

Tradycje walońskie niejako ożyły w 1999 roku, kiedy to 9 września powołano do życia Sudeckie Bractwo Walońskie zrzeszające ludzi związanych z mineralogią. To dzięki nim mnożą się różnego rodzaju publikacje związane z pozyskiwaniem kamieni ozdobnych oraz ich obróbką. Powstały m.in. „Spiski Walońskie” czy „Walonowie u Ducha Gór”. Bardzo ciekawym pomysłem było utworzenie odznaki turystycznej o nazwie „Sudecki Gwarek Waloński”. Regulamin odznaki został opracowany wspólnie przez Sudeckie Bractwo Walońskie i Oddział PTTK „Sudety Zachodnie” w Jeleniej Górze.

W drugiej części spotkania dotarliśmy do Chybotka, gdzie sprawdziliśmy, czy faktycznie można go wprawić w ruch. A następnie skorzystaliśmy z zaproszenia Wielkiego Mistrza Walońskiego Anny Naumowicz i odwiedziliśmy odbudowane po wielkim pożarze Muzeum Ziemi Juna. Oprowadzający nas po muzeum przypominał wszystkim o tym, że najważniejszą istotą w naszych górach jest Duch Gór – Karkonosz. To on praktycznie decyduje o wszystkim, co dzieje się w Karkonoszach. To on jest istotą mającą niezwykłą moc pozwalającą panować nad zjawiskami atmosferycznymi. To on może przybierać różne postaci czy zamieniać się w różne stworzenia. Dlatego, udając się na wycieczki górskie, należy zachowywać się tak, by nie wywołać gniewu Karkonosza. Należy także pamiętać o tym, że Duch Gór lubi płatać figle. O takich zabawnych sytuacjach opowiadają liczne przekazy.

Przygotowana w Junie prezentacja tradycji walońskich pozwala poznać siłę wielkiego bębna obrzędowego, zobaczyć jak płucze się złoto czy w końcu spotkać się w sali alchemików z najsławniejszym z nich Michałem Sędziwojem, który na zlecenie króla Zygmunta III Wazy poszukiwał kamienia filozoficznego.

Oczywiście przekazywane są tu informacje o Sudeckim Bractwie Walońskim. Dowiadujemy się o znakach walońskich, o tym co ich poszczególne elementy znaczą.



uznania dla jego ciężkiej pracy, pasji, uczynności i realizacji marzeń.

Nie zapomnieliśmy także o Kanclerzu Sudeckiego Bractwa Walońskiego Przemysławie Wiaterze, na którego mogile również ustawiliśmy znicz.

Na koniec naszej wizyty obejrzeliśmy niesamowitą kolekcję minerałów pochodzących praktycznie z całego świata. Dowiedzieliśmy się, jak je pozyskiwać samodzielnie, jak je rozpoznawać i jak obrabiać, by wydobyć na światło dzienne ich piękno.

Najważniejszym jednak w naszej wędrówce było dotarcie do grobu Juliusza Naumowicza, założyciela Sudeckiego Bractwa Walońskiego i jego pierwszego Wielkiego Mistrza. Symboliczny znicz, który zapaliliśmy na Jego grobie, to wyraz

Krzysztof Tęcza

27. wycieczka Rajdu na Raty 2023 – deszczowa wycieczka

W niedzielę 6 sierpnia 2023 roku Oddział PTTK „Sudety Zachodnie” w Jeleniej Górze zaprosił turystów na kolejną wycieczkę w ramach Rajdu na Raty. Tym razem głównym motywem wycieczki było 200-lecie zbudowania „Szwajcarki” w Górach Sokolich. Obiekt ten powstał jako prezent Wilhelma von Hohenzollerna dla jego żony. Księżna Maria Anna Amelia von Hessen-Homburg pochodziła z Wyżyny Berneńskiej w Szwajcarii. Nic więc dziwnego, że kochający małżonek postanowił w jakiś sposób ukoić jej tęsknotę za miejscem, gdzie spędziła swoje młode lata. Na posadowienie budynku wybrał Góry Sokole położone nieopodal ich zamku znajdującego się w Karpnikach. I tak od 1823 roku ten niezwykle budynek stał się miejscem, do którego zapraszano gości odwiedzających Karpniki.

Niestety w dzień naszej wędrówki pogoda spletała nam figła. Od rana padał rzęsy deszcz i nic nie zapowiadało, by miało się to zmienić. Ponieważ w naszym zwyczaju jest odbycie zaplanowanej wędrówki niezależnie od panującej pogody, zgodnie z ogłoszeniem wyjechaliśmy pociągiem do Wojanowa. Jak się okazało, mimo moich obaw, zgłosiło się pięcioro chętnych do odbycia tak nietypowej wycieczki. Nie zwlekając zatem, ruszyliśmy w trasę i po chwili podziwialiśmy piękny pałac w Wojanowie. Co prawda nie zobaczyliśmy tym razem jego odbicia w stawie, ale mimo to warto było obejść go dookoła.



Kolejnym obiektem był niewielki kościółek pw. Wniebowzięcia Najświętszej Marii Panny w Wojanowie, którego powstanie datuje się na koniec XIII wieku. To tam znajdują się bardzo ciekawe płyty nagrobne upamiętniające przedstawicieli rycerskich rodów von Zedlitz oraz von Shaffgotsch.



Niestety znajdujący się po drugiej stronie Bobru pałac w Bobrowie wciąż przedstawia obraz nędzy i rozpaczy. Ta niewątpliwie jedna z najpiękniejszych niegdyś budowli nie ma szczęścia do właścicieli. Jej obecny stan pozostawia wiele do życzenia.

Mając nadzieję, że kiedyś się to zmieni, ruszyliśmy dalej szlakiem zielonym prowadzącym w Góry Sokole. Deszcz wcale nie ułatwiał nam wędrówki. Wytrwaliśmy jednak dzielnie i wkrótce dotarliśmy do ścieżki prowadzącej na Sokoliki. Oczywiście wdrapaliśmy się pod skały i po zostawieniu na dole plecaków ostrożnie weszliśmy po



żeliwnych schodach na Sokolik, z którego mieliśmy nadzieję podziwiać piękne widoki. Niestety, gdy byliśmy już na platformie widokowej, okazało się, że wszystko spowija gęsta mgła. Czasami tak bywa. Niezrażeni tym zeszliśmy na dół, by dotrzeć do Husyckich Skał – miejsca tragedii, jaka miała tu miejsce. Otóż w roku 1434 został zdobyty znajdujący się nieco wyżej zamek Sokolec. Uciekający nocą husyci w gęstej mgle pomylili drogę i spadli w dwudziestometrową przepaść, ponosząc śmierć. W nieco bliższych nam czasach skałki otrzymały imię feldmarszałka Gebharda Leberechta von Blüchera, pogromcy Napoleona pod Lipskiem. Umieszczono tu stosowną tablicę i datę 1813, a na skale usadowiono zrywającego się do lotu orła. Niestety ani napis, ani odlew orła nie dotrwały do naszych czasów.

Teraz ruszyliśmy na Krzyżną Górę. Co prawda deszcz padał cały czas i strome podejście było bardzo utrudnione, momentami wręcz niebezpieczne, postanowiliśmy jednak z zachowaniem dużej dozy ostrożności iść powoli w górę. Gdy dotarliśmy do żeliwnego krzyża ustawionego na szczycie skałek, spotkała nas miła niespodzianka. Mgła gdzieś się rozproszyła i mogliśmy obejrzyć piękną panoramę.

Dodam tylko, że ten niezwykle krzyż odlany w królewskiej hucie w Gliwicach został tutaj ustawiony na życzenie wspomnianej księżnej Marii Anny, która postanowiła w tak nietypowy sposób uczcić urodziny swojego męża Wilhelma, brata ówczesnego króla Prus Fryderyka Wilhelma III. Na krzyżu został umieszczony napis: „Krzyża błogosławieństwo dla Wilhelma, jego potomnych i całej doliny”.

Po bardzo trudnym zejściu ze skał zerknęliśmy jeszcze na pozostałości zniszczonego zamku Sokolec i w końcu dotarliśmy do schroniska PTTK „Szwajcarka”, której pierwszym powojennym gospodarzem był Tadeusz Steć.

Wreszcie mogliśmy się ogrzać i zmienić mokre odzienie. Co prawda woda, którą nasiąkło nasze ubranie, tryskała strumieniami przy każdym ruchu, ale nie mogło nam to popsuć radości z bezpiecznego przebycia całej trasy. Rozgrzaliśmy się ciepłą herbatą i wyruszyliśmy w stronę stacji PKP Trzcianko, skąd odjechaliśmy do Jeleniej Góry.

Dodam tylko, że wycieczkę poprowadził piszący te słowa.



Krzysztof Tęcza

Wiadomości o Dolnym Śląsku z 1947 r. (27)

(Z dzieła Józefa Sykulskiego „366 wiadomości o Dolnym Śląsku – kalendarz i notatnik na rok 1948”)

Pod datą 21 września:

Perlony pochodzą z Jeleniej Góry

Perlony wytwarzają jedynie dwa państwa: Ameryka Północna i Anglia, w Polsce zaś – jedynie Jelenia Góra. Amerykański nylon nazywa się w Polsce steelonem i wytwarza go Dolnośląska Fabryka Włókien Sztucznych. Fabrykuje ona tylko nić, a fabrykacja pończoch odbywa się w Łodzi.

Podstawowymi składnikami produkcji steelonu są węgiel, woda i powietrze. Z nich to, po długich procesach chemicznych, powstaje nić steelonowa, posiadająca „grubość” 0,06 milimetra. Z niewielkiej szpuleczki tych nici, ważącej 300 gramów, można wykonać 20 par pończoch, nie puszczających oczek, 15 razy mocniejszych od „normalnych” i ważących zaledwie 15 gramów.

Obecnie fabryka w Jeleniej Górze wytwarza dziennie materiał na około 700 par pończoch, a w końcu 1948 r. będzie go wykonywała na – pięć tysięcy par. A więc dopiero w 1949 r. perlony będą bardzo tanie...

Pod datą 23, 24, 25 września:

Psie Pole i pieśń o Krzywoustym

Wojska Bolesława Krzywoustego nie dały ani na chwilę spocząć armii cesarza, któremu król „był nieodstępnym towarzyszem marszu i jeżeli tylko ktokolwiek wystąpił z szeregów, to już nie znalazł powrotnej drogi” – pisze Gallus. „W ten sposób tak wielkie i dobre wojsko Bolesław doprowadził do takiego strachu, że nikt nie śmiało wychylić się z obozu, żaden giermek nie odważył się trawy zbierać dla koni, nikt też nie ośmielił się iść dla załatwienia naturalnej potrzeby poza wyznaczoną linię straży”...

Nie wiemy, jak wielka bitwa została stoczona między wojskami Krzywoustego i Henryka na miejscu, które później nazwano Psim Polem, wiemy natomiast, że miejsce to zwano już od dawna tak właśnie, jak to na przykład czytamy w dokumencie Henryka Brodatego dla klasztoru św. Wincentego we Wrocławiu z 1206 r. „Pzepole”. [...]

Nie tylko Psie Pole zostało nam z tych czasów na pamiątkę zwycięskiej wojny króla polskiego z cesarzem niemieckim, została i pieśń, która jest zamieszczona w wielu niemieckich poważniejszych podręcznikach historii.

Podaję ją w polskim tłumaczeniu:

Bolesławie, bohaterze,
Znasz spoczynek, sen cię bierze?
Świt i noce, i dzień cały
Przez cię straszne się nam stały –
Bo takiś ty woj!

Dla nas jesteś Polski panem,
Lecz granice te nam dane?
Z wojska twego garstką małą
Naszą armię bijesz całą –
Wielki z ciebie wódz!

Po Pomorzu tyś nie spoczął,
Nadal bijesz się ochoczo:
Pogan gromisz, krzewisz wiarę –
Daj ci, Boże, męstwo stare
I zwycięstwo znów.

Chrześcijanie – ci zazdrościm,
Stąd po polach nasze kości!
Bolesławie, co trudnego
Dla cię, choćby największego
Królem państwa być?

Pieśń tę śpiewali żołnierze cesarza. „Niektórzy zaś – pisze Gallus – rozważni i szlachetni rycerze (niemieccy) słuchając tej piosenki ze zdumieniem szepotali między sobą: Gdyby nie to, że potęgą swą Bóg go tak wywyższa, to przecież nigdy by nasz własny lud tak go nie sławił. Głos bowiem ludu zawsze zwykł zgadzać się z głosem Boga... Jednak cesarzowi piosenka ta nie podobała się i bardzo często wzbraniał ją śpiewać, czym jednak do tym większej krnąbrności swój lud doprowadzał”...

„Sterany niepowodzeniami cesarz wysłał tajne poselstwo do Bolesława z propozycją, by zapłacił mu 300 grzywien, co mu wystarczy za dowód czci i hołdu. Na to Bolesław odpowiedział cesarzowi, że woli w tej chwili stracić królestwo polskie, broniąc jego wolności, niż na zawsze je w pokoju zachować w hańbie poddaństwa.” Na taką odpowiedź „cesarz zdecydował się na dokonanie odwrotu, trupy swoich wioząc za cały haracz z Polski”...

Tak śpiewali o polskim królu żołnierze niemieccy. A czy polscy żołnierze kiedykolwiek śpiewali coś pochlebnego o bohaterach niemieckich? Nigdy! Bohaterowie bowiem niemieccy zawsze wzrastali w chwałę cudzą krzywdą!

*Józef Sykulski
Wybrał: Janusz Fuksa*

Godło Szalaya – znak tradycji i dobrej jakości

Józef Szalay troszczył się o wieś w dolinie Ruskiej Wody / Grajcarka, którą rozwinął w kwitnące uzdrowisko. Aby przyciągnąć gości, wymyślił szumny spływ Dunajcem z muzyką i palbą z moździerza, zaś w Szczawnicy, dla podniesienia poziomu ówczesnych „usług turystycznych”, wdrożył oryginalny system „obrazkowych znaków jakości”.



Józef Szalay (1802-1876) – właściciel Szczawnicy, twórca świetności uzdrowiska i spływu Dunajcem

Oficjalnie w 1842 r. Józef Szalay, po śmierci ojca Stefana w 1838 r., pokochał Szczawnicę i całą swoją energię oraz pasję poświęcił na unowocześnienie i rozwijanie kurortu uzdrowiskowego. Za swoich czasów Józef Szalay (1802-1876) przeprowadził całkowitą odnowę i unowocześnienie Szczawnicy.

Przekonywał skutecznie górali do urządzania domostw i obejść gospodarczych w taki sposób, aby nie odstraszać gości prymitywizmem, brudem, bałaganem, błotem na podwórkach i przyciągać z zyskiem gości oraz mieć z tego dochody. Ruszyła modernizacja, czyli chałupy wyposażano w kuchnie z kominem, podłogi z desek zamiast glinianych klepisk, okna z czystymi szybami, ganki i werandy do posiadów i ochrony przed niepogodą. Właściciele domów liczyli na korzyści z wynajmu kwatery, wyposażali swoje domy w czyste kuchnie i kominy, podłogi w izbach i urocze ganki, „szwajcarskie” werandy z ozdobnymi balustradami, które upiększały domy i całe ulice.

Godła oznaczały wiejskie chałupy z czystymi izbami i ustępami, bez gnoju na podwórkach. To były pierwsze „znaki jakości kwatery”. Są w historii Szczawnicy i osobliwością także dzisiejszego uzdrowiska znakiem rozpoznawczym znanym jako „godła Szalayowskie”. Owe „godła” to znak rozpoznawczy dawnych góralskich domów – pierwszych pensjonatów uzdrowiskowych w Szczawnicy. Miejscowa tradycja przypisuje pomysł jak i pierwotne wykonanie samemu Józefowi Szalayowi, stąd

ich nazwa.

Tablice godła zdobiło malowidło, swoisty herb chałupy, np. Pod Ułanem, Pod Winogronem, Pod Sercem, Pod Dzwonem, Pod Aniołem, Pod Wężem, a u dołu czytelna nazwa. Zawieszenie godła było dla gospodarzy swoistym dyplomem i wyrazem uznania walorów kwatery. Odbywało się uroczyste z udziałem władz uzdrowiska i orkiestry zdrojowej. Wyróżnienie domu godłem oznaczało w formie obrazka informację, że „tu się wynajmuje kwatery dobrej jakości”.

Józef Szalay wprowadził wymóg urządzenia zaniechanego domu i obejścia w taki sposób, aby nie odpychał prymitywizmem i brudem. Ogłosił, że każdy właściciel domu, który doprowadzi zagrodę do wymaganego poziomu, będzie miał prawo oznaczenia obejścia godłem zachęcającym gości do wynajęcia na czas pobytu. Niektóre domy z godłem i rodziny szczawnickich gospodarzy miały przez wiele lat „swoich stałych gości”.

Szalay był założycielem parku zdrojowego, miejsca spacerów i spotkań towarzyskich oraz koncertów orkiestry zdrojowej. W centrum uzdrowiska zbudowano kaplicę, a dopiero w latach 1882–1892 kościół pw. św. Wojciecha według projektu rysownika i fotografa tatrzańskiego – Stanisława Eljasza-Radzikowskiego (1869-1935). Szalay działał ze swoim przyjacielem, krakowskim lekarzem Józefem Dietlem (1804-1878), który zbadał i zanalizował szczawnickie wody oraz dokładnie je opisał, a ich charakterystyki wysyłał do lekarzy i szpitali w celu popularyzacji walorów leczniczych uzdrowiska w Pieninach.

Około 1840 r. Szalay namówił szczawnickich górali do organizowania spływów przełomem Dunajca połączonych ze strzelaniem z moździerza, muzyką i przewożeniem łódkami / tratwami turystów – ta atrakcja turystyczna stała się znana na całym świecie. Sława uzdrowiska w ciągu kilku lat osiągnęła apogeum

popularności, a pod koniec życia jego twórcy było jednym z najczęściej odwiedzanych rozwijających się polskich uzdrowisk, szczególnie upodobali je sobie najbardziej znani pisarze, malarze, muzycy, a po śmierci Józefa Szalaya przeszło w ręce Akademii Umiejętności w Krakowie.

Mijały lata świetności Szczawnicy, zmalało znaczenie „godeł Szalayowskich”, z wielu domów zapomniane zniknęły bezpowrotnie. A zarówno mieszkańcy jak i władze uzdrowiska wróciły do dawnych tradycji, aby je przypomnieć i przedłużyć dla popularyzacji jego dziejów i współczesnych potrzeb. Według wiarygodnych przekazów „godłami Szalayowskimi” oznaczono i chlubiło się nimi ponad sto szczawnickich domów.

Rola kustosa tradycji i promotora uzdrowiska przypada niejako z natury rzeczy Muzeum Pienińskiemu im. Józefa Szalaya w Szczawnicy-Szlachtowej. W kolekcji zabytkowych eksponatów zachowane są najstarsze tablice z godłami. Jedną z atrakcji krajoznawczych dla kuracjuszy i turystów jest „Szlak godeł Szalayowskich”. Wyznaczają go stare i nowe tablice z godłami. Wiele dawnych odtworzono zgodnie z dawnymi wzorami. Dla krajoznawców wydano specjalny przewodnik po tym niezwykłym szlaku przez starą i nieco nowszą Szczawnicę. Odnowieniu dawnej tradycji patronuje Miejski Ośrodek Kultury w Szczawnicy i Muzeum Pienińskie im. Szalaya. W recepcji tej placówki można kupić miniaturowe reprodukcje zabytkowych „godeł Szalayowskich”.

Tomasz Kowalik

Taternik literatury

pamięci profesora Jacka Kolbuszewskiego (1938 – 2022)

niestrudzenie
przez kilkadziesiąt lat
bez sztucznych ułatwień i ubezpieczeń
udostępniał góry
odbite w literaturze

ekstremalne ściany poezji
Pola „potopu światła fale”
Nowickiego „skamieniały sen Stwórcy”
Przybosia „turnię zawisłą na rękach”

przedzierał się przez gąszcz kosówki
piargi banału i powtórzeń
w drodze ku „Wierchowym słowom” Gracy
„Krokami w słowach” Staicha

echo jego fascynacji
pozostanie w naszej kulturze

Antonina Sebesta
wrzesień 2022

**Profesor Jacek Kolbuszewski otwierający
XIV Krajową Konferencję „Problemy współczesnej tanatologii” XIV KK Tanatos 3-5.11.2010 r.**



Opowieść o tym, jak dawniej Tomek wędrował

Awędrował w stylu klasycznym, pierwotnie prostym, ale inteligentnym, jak przykazywali najstarsi krajoznawcy. Powód był niemal dziecinnie prosty: żeby poznać swój kraj, trzeba to zrobić samemu, „na własne oczy”. I być może dlatego Tomasz Krzywicki zatytułował książkę* ze swoimi wspomnieniami z rozlicznych młodzieńczych i dorosłych (coraz bardziej dawnych) wypraw właśnie tymi słowami, by nie powiedzieć z „zamierzchłych czasów» i coraz bardziej starych szlaków. Dodajmy, po wielu regionach Polski i czasem znacznie dalej od jej lądowych i morskich granic.

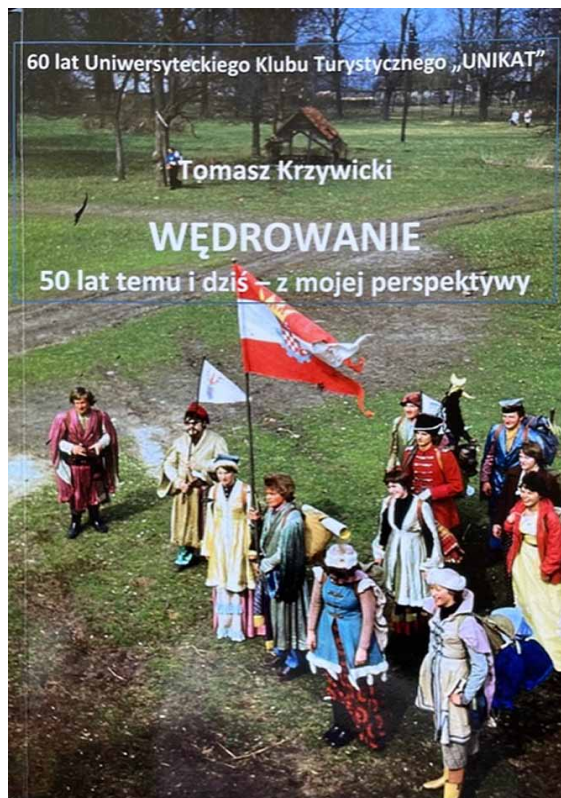
Zarazem powód spisania osobistych wspomnień i doświadczeń praktycznych z bodajże tysiąca szlaków był nietypowy, osobliwy i oryginalny w jednym. Motyw przewodni to niebagatelna rocznica 60-lecia Uniwersyteckiego Klubu Turystycznego „Unikat» przy Uniwersytecie Warszawskim. Jak na klub turystyczny z rodowodem studenckim to niby nic nowego, takich klubów w kraju jest w naszych środowiskach i przy uczelniach akademickich „na kopy», czyli pod dostatkiem. Są to koła przewodników, kluby żeglarskie, alpinistyczne, rowerowe, oddziały PTTK - a niektóre już mają ponad 60 lat trwania i owocnego działania *pro publico bono*.

Wypada dodać, że autor jest nie tylko weteranem krajoznawstwa pod znakiem studenckiego z tradycji klubu, ale doktorem nauk geologicznych i wcale nierzadko piszącym o swoim i z bliskimi wędrowaniu. A książka na jubileusz jest tego świetnym dowodem i przykładem. Jego zawód z pewnością sprzyjał turystyce i krajoznawstwu, wszak wędruje się po ziemi - z greckiego geo. Zakochany jest od wielu lat - jak każe tradycja klubu „Unikat» - w Suwalszczyźnie, a jeszcze mocniej w kresowej Puszczy Rominckiej, gdzie pomieszkuje w zwyczajnej chacie, dawniej niezbędnej leśnikom, po sąsiedzku z żubrami, jeleniami, dzikami, a czasem nawet z wilkami.

Autor tej publikacji wspomina swoją wieloletnią przygodę z przestrzenią i czasem. W jej tytule zastrzeżenie, że tak było „50 lat temu i dziś - z mojej perspektywy”, dostaliśmy swoisty pamiątnik krajoznawcy i turysty, podręcznik i przewodnik, katalog sprzętu turystycznego wielu rodzajów, jak sprawdził to na własnych plecach, nogach, głowie, z pożytkiem i powodzeniem licznych swoich dalekich wypraw i małych wycieczek. Dodajmy: po kraju i za granicą w rozmaitych warunkach, wiosną, latem, jesienią i w śnieżnej szacie.

Swoje wędrowanie zaczął w podwarszawskiej Puszczy Kampinoskiej w 1966 r., a więc już w Kampinoskim Parku Narodowym 56 lat temu, gdy był licealistą. Typowy początek tysięcy takich jak on, którzy zapisali się do PTTK. Wtedy królowała turystyka kwalifikowana, ale - jak zanotował we wstępie do swojej książki - [...] *Od czasu mojej inicjacji turystycznej wszystko się zmieniło, od sprzętu aż po system podróżowania [...]. Zmienił się też krajobraz* i wymienia jakby w katalogu to, co go przerobiło na liczne wrogi turystyce i krajoznawstwu zjawiska. Ot choćby schody na Tarnicę w Bieszczadach, wycina się dorodne lasy w Puszczy Białowieskiej i Karpackiej, a ochrona środowiska, także dla turystów, [...] *staje się fikcją [...], część wsi wyludnia się, niektóre przysiółki przestają istnieć, ale też niektóre wioski zamieniają się w daczowiska - ludzie uciekają z molochów miejskich i chcą być bliżej przyrody.*

Cały dalszy ciąg treści książki poświęca temu wszystkiemu, co wprost służy turyście i uprawianiu turystyki, poczynając od wielu rodzajów sprzętu, jak plecak, kilkanaście modeli i rodzajów, przez buty, kurtki, skafandry, „kangurki”, po kapelusze, czapki, skarpety. Oczywiście opisuje typy i zalety licznych modeli namiotów, materacy i śpiworów. Nie sposób pominąć sprzęt kuchenny i inne niezbędne do przygotowania posiłków, a więc kuchenki, prymusy, palniki, menażki aż po liczne rodzaje latarek. Nie pomija tematu „jedzenie», ale ten temat to sprawa bardzo osobista każdego turysty.



Nie lekceważy też podręczników, klasycznych map, prezentuje cenne porównanie staroci z wydaniem współczesnymi, system GPS, kompas i busole, a jak dochodzi do opisu przewodników drukowanych, nie pomija własnego dorobku autorskiego w tym zakresie. Nie pomija licznych publikacji tzw. wydań na imprezy turystyczne klubów studenckich, kiedyś nawet półtajnych „do użytku wewnętrznego», czyli informatorów krajoznawczych i opisów tras dla uczestników studenckich rajdów.

Jak jeden z setek tysięcy fotografów utrwalających to wszystko, co działo się na rajdach, wycieczkach, biwakach, spływach opisuje sprzęt fotograficzny. Nie pomija tematu odznak turystycznych i plaketek, a nawet pieczętek pamiątkowych z imprez krajoznawczych. Obraz turystyki z czasów autora książki byłby niepełny bez wspomnienia z uszanowaniem, a nawet łezką w oku miejsc noclegowych: biwaków pod gołym niebem, w brogach siana na łąkach, kempingów, a przede wszystkim „otwartych jak kochające serce» zwyczajnych wiejskich stodoł, sąsiedków wypełnionych sianem, a bywało, jak pamiętam, chlewików po sąsiedzku z ich lokatorami i na wyściółce ze słomy lub siana po prostu w korytach na karmę dla krów czy koni.

Ale, jak mawiają nasi sąsiedzi zza Tatr, *to było piękne, ale se ne vrati* – więc, przyznając im tzw. słuszną rację, zachęcam do lektury tej niezwyklej, bardzo osobistej, ale pożytecznej dla wielu innych księgi pamiątkowej z tysiąca szlaków.

Tomasz Kowalik

* Tomasz Krzywicki: *WĘDROWANIE 50 lat temu i dziś z mojej perspektywy, 60 lat Uniwersyteckiego Klubu Turystycznego „UNIKAT”*. Warszawa: Wyd.: Fundacja Nauk Humanistycznych Uniwersytetu Warszawskiego, Fundacja Ogólnopolskiej Komisji Historycznej Ruchu Studenckiego im. Wiesława Klimczaka - Zespół Historii Turystyki Studenckiej, Uniwersytecki Klub Turystyczny „Unikat”, 2023.

Wędrowanie razem z nurtem Wisły

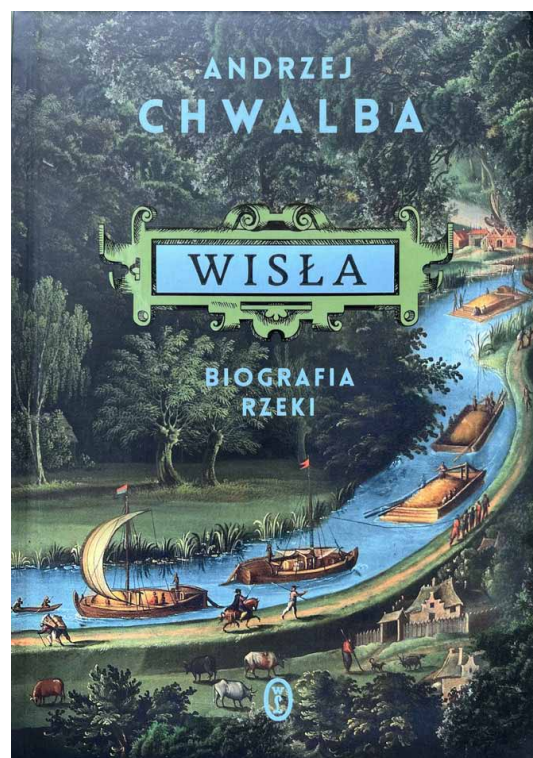
Mateusz Waligóra przeszedł niemal 1200 kilometrów wzdłuż Wisły, aby odkryć Polskę na nowo,* bo jak sam mówi: *Byłem w kilkudziesięciu państwach, a nie znam kraju, w którym żyję od trzydziestu czterech lat, bo zawsze ważniejsze było dla mnie jeżdżenie w miejsca odludne* - to jego uzasadnienie dla tej pieszej wędrówki. Nie miał zamiaru, ale odkrycie w kilka tygodni własnego kraju, niejako zaocznie nadało mu tytuł krajoznawcy. Wędrówkę fotografował Dominik Szczepański.

Takie książki, reportaże z podróży, rzadko zajmują uwagę czytelników. Jedną z przyczyn to nieliczne wydania takich opowieści w postaci tzw. książek podróżniczych. Autorzy decydują się na nietypowe wędrowanie najczęściej wtedy, gdy sami chcą być odkrywcami, wędrować po swojemu, z ciekawości do wszystkiego co nieznanne. Tak było podczas wędrówki wymyślonej przez Waligórę wzdłuż Wisły - jak na mapie „od dołu do góry”, a faktycznie z naszych małych gór nad nasze małe morze.

Niedługo po tej książce ukazała się kolejna poświęcona Wiśle. Tym razem autor, zabierając się do rozwinięcia wielkiego tematu, zdecydował, że największą polską rzekę - to zjawisko naturalne, przyrodnicze, fizjograficzne - w istocie rzeczy trzeba / można uznać za... kobietę. I tak Andrzej Chwalba stał się autorem książki *Wisła. Biografia rzeki*. Opisanie takiego przedmiotu jego zainteresowań i wiedzy naukowej nie mogło być powierzchowne, fragmentaryczne, wybiórcze - i dlatego dotarło do czytelników jako księga opasła, rzetelnie udokumentowany opis tego wszystkiego, co o Wiśle wiadomo od stuleci i od niedawna.

Biografia wypełniona wiadomościami o tej rzece / kobiecie sięga dosłownie do jej naturalnych źródeł i do ogromnego zasobu wiedzy o jej istocie, wiedzy zgromadzonej przez pokolenia badaczy, z autorem tej książki łącznie. Dzięki temu poznajemy rzekę nie tylko jako wodę płynącą między dwoma brzegami. Dowiadujemy się, czym była tysiące lat temu i jaka jest dzisiaj. Geografia i fizjografia powiązane z historią ludzi związanych z tą rzeką - to główna zaleta i wynik mozolnej pracy autora.

Autorem drugiej ważnej książki** jest **Andrzej Chwalba** (1949) profesor Uniwersytetu Jagiellońskiego, historyk, badacz dziejów najnowszych Polski i Krakowa, autor licznych podręczników akademickich i działacz Polskiego Towarzystwa Historycznego. Temat „Wisła” opisał tak dokładnie, jakby pisał o sobie i swoich



najbliższych w rodzinie. Nad, z niej i na tej rzece żyło wiele pokoleń rybaków, flisaków, żeglarzy, którzy w dziejach narodu budowali odrębną, ściśle związaną z rzeką kulturę, zwyczaje, tradycje. Oni badali jej nurt, korzystali z niej jako drogi wodnej, źródła żywności, budowali łodzie i szkuty, zapory, wały ochronne, młyny, mosty, była granicą frontów wojennych.

Ta wiedza, bogata jak rzadko w powiązaniu z innymi tematami, jest cennym rozdziałem polskiego krajoznawstwa. Przede wszystkim opisem roli miast nadwiślańskich, takich jak Kraków, Sandomierz, Kazimierz Dolny, Warszawa, Wyszogród, Płock, Toruń, Grudziądz, Tczew, Gdańsk. Wisła nie tylko je ozdabiała – dawała życie, pracę, szanse rozwoju i korzyści gospodarcze ludziom, regionom nad rzeką i krajowi.

Wisła od swych źródeł na Baraniej Górze do ujścia w Gdańsku zawsze była bytem niezależnym, nieokiełznanym, jedną z ostatnich rzek europejskich nieujętych w kamienno-betonowe koryta. Naturalny nurt tej rzeki jest nie tylko jej osobliwością, ale przede wszystkim bogactwem naturalnym. Aby taka pozostała, musi być chroniona przed „inżynierami od wody i zapór”, od zabójczych skażeń chemicznych, od każdego, kto chce korzystać z jej walorów krajobrazowych, niszcząc jej bogactwo przyrodnicze bezmyślnie i niefrasobliwie.

Wiosną i latem 2023 roku Wisła jak wiele razy dawno temu i niedawno niesie bardzo mało wody w swym naturalnym nurcie. W Warszawie można ją przejść w poprzek, w bród, wystarczająco wysokie kalosze, a nawet krótkie spodnie lub sukienka. W korycie tworzą się piaszczyste łachy, gdzie chętnie zakładają gniazda rybitwy i mewy. Nie oznacza to jednak zachowania stanu stałego, bywają wysokie wody, czyli wezbrania aż do rozlewu, co sprzyja terenom nadbrzeżnym pod warunkiem, że są to tereny chłonące wodę, lasy łąkowe, łąki, pastwiska, ale bywają zalewane tereny lekkomyślnie zabudowane.

Wisła doskonale sobie radzi z szalonymi pomysłami, a to z pogłębianiem koryta, z rabunkowym wydobywaniem setek ton piasku dla potrzeb rozmaitego budownictwa, niedoskonałością oczyszczalni ścieków i zrzutami masy płynnych zanieczyszczeń. Niestety, to oczywista przyczyna uśmiercenia bezpowrotnie wielu gatunków ryb z jesiotrem na pierwszej lokacie strat. Autor tej książki wymienia wiele innych zagrożeń i fatalne dla żywej rzeki skutki poczynił człowieka, przede wszystkim chemików, energetyków, hydrotechników, meliorantów, piaskarzy, których postawy są dalekie od zasad ochrony rzeki jako osi biologicznej i ostoju licznych gatunków roślin i zwierząt.

Treść tej książki Andrzeja Chwalby swoim bogactwem tematów zachęca do ich poznania nawet tylko powierzchownego. Sprzyja potrzebie zaspokojenia minimum wiedzy o naturze największej polskiej rzeki. Wisła trwa w swej naturalnej postaci bez względu na karkołomne plany zabudowy dla energetyki, skanalizowania w formie drogi dla żeglugi towarowej, regulacji nurtu i wyniszczenia wszystkiego, co się rusza w wodzie i na jej brzegach.

Taka rzeka po prostu jest naturalnym zabytkiem i to wystarczający powód, aby poznać jej naturę i uznać za konieczną troskliwą jej ochronę. Ciemnota szkodzi zarówno rzece jako części wielkiej polskiej przyrody, a najbardziej szkodliwa jest dla każdego, kto nie rozumie istoty jej natury, roli w krajobrazie kraju. Wędrować można - a nawet należy - wzdłuż jej nurtu, z jej nurtem, dla obustronnej korzyści, dla ludzi i natury.

Tomasz Kowalik

*Waligóra M., Szczepański D., *Szlak Wisły. 1200 km pieszej przygody*, Kraków: Wydawnictwo Otwarte, 2023, ISBN 978-83-813-5300-7

**Chwalba A., *Wisła. Biografia rzeki*, Kraków: Wydawnictwo Literackie, 2023, ISBN 978-83-08-08126-6

NA SZLAKU - magazyn turystyczno-krajoznawczy

Czasopismo Polskiego Towarzystwa Turystyczno-Krajoznawczego wydawane przez Oddział Wrocławski PTTK od 1987 r.

Magazyn odznaczony "Złotą Honorową Odznaką PTTK" w 2002 r. oraz Odznaką Honorową "Za Zasługi dla Turystyki" przyznaną przez Ministerstwo Sportu i Turystyki w 2012 r.



Adres Redakcji:
Rynek-Ratusz 11/12, 50-106 Wrocław

Redaktor Naczelny: **Piotr Dacko**

Redakcja techniczna: **Piotr Dacko**

Korekta: **Zofia Wiatrak**

Webmaster: **Piotr Dacko**

Stale współpracują: Juliusz Wysłouch, Krzysztof Tęcza, Tomasz Kowalik, Ryszard M. Remiszewski, Janusz Fuksa, Bartosz Skowroński, Zbigniew Piepiora, Krzysztof Piłk, Jacek Mielcarek, Sebastian Jakobsch, Mirosław J. Barański



Materiałów nie zamówionych Redakcja nie zwraca i nie stosuje honorariów za opublikowane.

Redakcja zastrzega sobie prawo adyustacji tekstów, przyjmowanych wyłącznie w formie elektronicznej.

Przedruki tylko za podaniem źródła.

Umieszczanie banerów na stronie domowej magazynu i reklam wewnątrz numerów na odrębnie uzgodnionych zasadach.

Za treść reklam Redakcja nie odpowiada.

ISSN 1230-9931